

Merline Lovelace

Lot do miłości

Gorący Romans DUO 793

PROLOG

– Bezczelny drań!

W żyłach Elizabeth Moore zagotowała się krew, kiedy spojrzała na email wydrukowany pół godziny wcześniej. W blasku okrągłego jak bułeczka księżyca nad półwyspem Baja ponownie przeczytała wiadomość od narzeczonego. Pomyłka. Byłego narzeczonego.

Wściekle przedarła list, raz, drugi, trzeci. O jej boscie nogi z pluskiem uderzały morskie fale, zabarwione poświatą księżyca na złoto. Im bliżej końca maja, tym ciaśniej wilgotny, gorący koc meksykańskiej nocy spowijał ciało.

Grzęznąć po kostki w mokrym piasku, Liz dalej darła papier na strzępy, które wrzucała do wody. Fala odpływu uniosła je w głąb morza. Białe skrawki przez chwilę dryfowały na powierzchni, po czym powoli zatonęły, a wraz z nimi – piękne marzenia Liz.

– Nie do wiary, że zadurzyłam się w takim chłystku! Dopiero teraz zaczynała dochodzić do niej prawda.

Mężczyzna, z którym zamierzała spędzić życie, narzeczonego, który namówił ją na pracę w Meksyku, podczas gdy sam spędzał dziesiątki godzin w powietrzu jako pilot singapurskich linii lotniczych, właśnie przysłał jej mail z informacją, że zakochał się w innej kobiecie. Była malezyjską korespondentką dziennika NBC i nazywała się Bambang Chawdar. A może Barabarachacha.

Do diabła!

Jak gdyby tego nie wystarczyło, ten drań wyczyścił jeszcze ich wspólne konto. Liz nie wiedziała, co wywołało jej większą złość – to, że wmówiła sobie miłość do Donny’ego Cartera, czy też to, że pozostała mu wierna mimo długiego rozstania.

Siedem miesięcy. Zazgrzytała zębami. Cholera, siedem miesięcy żyła jak mniszka. Oczywiście nie narzekała na brak okazji do grzechu. Załogi szybów naftowych, które transportowała helikopterem na platformę wiertniczą położoną siedemdziesiąt kilometrów od półwyspu Baja, składały się z pierwszorzędných męskich okazów. A kiedy nafciarze schodzili na ląd po całomiesięcznym dyżurze, byli zgłodniałymi damskiego towarzystwa. W ciągu minionych siedmiu miesięcy Liz stała się specjalistką od odrzucania niedwuznacznych propozycji umięśnionych robociarzy. W większości wypadków wystarczał zdawkowy uśmiech i stanowcze: „Nie, dziękuję”. Raz czy dwa razy musiała użyć mocniejszych argumentów.

Teraz z pewnością nie było jej do śmiechu. Chciała natychmiast rozładować złość, walnąć w coś z całej siły, powetować sobie urażoną dumę, dać ujście frustracji.

– Przysięgam na Boga, że rzucę się na pierwszego w miarę trzeźwego samca, którego napotkam na swojej drodze!

Nawet szum Pacyfiku nie zagłuszył uroczystego przyrzeczenia, wypowiedzianego podniesionym głosem. Nie zagłuszył też dowcipnego komentarza, dobiegającego gdzieś z ciemności.

– Akurat jestem trzeźwy, ślicznotko. A jeśli chcesz się na kogoś rzucić, służę własną

osobą.

Serce podeszło kobiecie do gardła. Obróciła się na pięcie i przeczesła wzrokiem wydmy, aż namierzyła niewyraźną sylwetkę. Księżyc oświetlał ją od tyłu, więc kontur twarzy rozlewał się w szarą plamę, lecz zarys ciała nie pozostawiał wątpliwości. Każdy krok zbliżającego się nieznajomego dopełniał w bystrym umyśle Liz zewnętrzną charakterystykę obiektu: wysoki, barczysty, super.

Do licha, co on tu robił, w odludnym zakątku plaży, w środku nocy? A tak właściwie – co ona tu robiła, sama, bezbronna?

Przeklęła w duchu własne emocje, *bo w porywie złości zostawiła telefon komórkowy i paralizator w jeepie zaparkowanym na szosie. Jednak nie wpadła w panikę. Przecież przez cztery lata była pilotem wojskowym. Instruktorzy od sztuki przetrwania, walki wręcz i ewakuacji nauczyli ją kilku brutalnych chwytów. Jeśliby zapragnęła, mogła powalić napastnika na ziemię, pomimo jego słusznego wzrostu i imponującej muskulatury, rysującej się pod czarną koszulką i dzinsami.

– Doceniam twoją propozycję – odparła, dumnie podnosząc brodę – ale może jeszcze przemyślisz to i owo. Mój podły nastrój, a także nocna bijatyka w piachu chyba nie dostarczyłyby ci zbyt miłych przeżyć.

Nieznajomy powoli odwrócił głowę. Przenikliwy wzrok rozpoczął niespieszną wędrówkę. Liz czuła gorący szlak biegnący od jej twarzy, poprzez obcisłą białą koszulkę, spodenki aż po nagie nogi. Nie uszedł też jej uwagi fakt, że z każdym krokiem mężczyzna uśmiechał się coraz szerzej.

– Mimo wszystko zaryzykuję.

Szeroko wymawiał samogłoski. A więc – Amerykanin. I jeszcze wybuchnął śmiechem, podczas gdy jej głos uwiązał w krtani. Przez ułamek sekundy chciała nawet dotrzymać swojej szalonej przysięgi. Z pewnością potrafiłaby skorzystać z usług tak rasowego ogiera, a z drugiej strony, facet o figurze antycznego atlety niewątpliwie spisałby się znakomicie.

Zirytowana doszła do wniosku, że to chyba skutek pełni. Księżyc ściągał jej myśli na złą drogę z równą siłą, z jaką oddziaływał na morskie fale. Cokolwiek jednak się działo, Liz czuła obecność jakiejś niebezpiecznej, potężnej mocy.

Instynkt kazał jej cofnąć się, by zachować odpowiednią odległość od barczystego napastnika, ale wciąż tkwiła w miejscu, uziemiona przez wściekłość i urażoną dumę.

Był coraz bliżej. Rozróżniała już jego rysy. Z precyzją pilota, korygującego parametry kursu, tworzyła w pamięci rysopis. Wydatny, kwadratowy podbródek, lekko spłaszczony nos (jak po kilku ciosach), drobne zmarszczki w kącikach oczu i zmysłowy uśmiech, czytają: seks w postaci czystej.

– No i jak z nami będzie?...

Nagle huknął strzał, a potem, w odstępnie dwóch uderzeń serca, rozległ się następny. Nieznajomy zaklął i rzucił się ku Liz. Zachwiała się i runęła do płytkiej wody, a on upadł razem z nią, lecz zaraz zerwał się na nogi i pomknął w stronę, skąd padły strzały.

– Zostań tu! – polecił.

I tak nigdzie się nie wybierała. Leżała bez ruchu, jak zmęczony wieloryb wyniesiony na

brzeg. Ledwie zipała w wyniku zderzenia z dziewięćdziesięciokilowym męskim ciałem. Po kilkunastu bolesnych sekundach powietrze wróciło do płuc. Wtedy podniosła się i pobięła przed siebie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W cichych godzinach przedświt w waszyngtońskiej dzielnicy ambasad panował półmrok, rozświetlany gdzieś tam reflektorami przejeżdżających samochodów. Okienne ceglanych domów przy ulicy odchodzącej od Alei Massachusetts były zamknięte. Elegancki trzypiętrowy dom, stojący w połowie drogi między kolejnymi przecznicami, wydawał się z zewnątrz pogrążony we śnie – tak jak sąsiednie budynki.

Matowy blask pobliskiej latarni oświetlał niepozorną mosiężną tabliczkę na drzwiach. Napis głosił, że mieszczą się tu biura specjalnego wysłannika prezydenta. Waszyngtończycy starej daty wiedzieli, że to tytuł bez znaczenia – ot, jedno z tuzina stanowisk tworzonych po każdej kampanii wyborczej dla bogatych sponsorów, którym imponuje obracanie się w kręgach rządowych. Tylko garstka dobrze poinformowanych orientowała się, że „specjalny wysłannik” jest jednocześnie dyrektorem tajnej agencji OMEGA, podlegającej bezpośrednio prezydentowi i że powołanie go było ostatecznością, gdy zawiodły inne możliwości.

Dyżur pełnił jeden z dyspozytorów OMEGI. Za zasłoniętymi oknami, na trzecim piętrze domu, w pokoju naszpikowanym najnowszą aparaturą łączności, panowało wyczuwalne napięcie. Za specjalną konsolą siedział z wyrazem skupienia na twarzy pracownik prowadzący agentów.

– Nie skopiowałem twojej ostatniej transmisji, Wiertaczu. Proszę powtórzyć.

Joe Devlin, noszący kryptonim Wiertacz, odpowiedział z nieskrywanym niesmakiem w głosie.

– Przecież powiedziałem, że tę część zadania szlag trafił. Mam zwłoki dryfujące przy brzegu i idę po śladach zmywanych natychmiast przez fale.

– To zwłoki naszego informatora?

– Nie. Kontakt kazał szukać kogoś w bluzie klubu piłkarskiego „Tigres Mazatland”. Trup ma na sobie koszulkę firmy Tommy Hilfiger. Przypuszczam, że szedł za naszym gołąbkim, spłoszył go i sam dał się wypatroszyć.

Wszystkim obecnym w centrum łączności udzieliła się frustracja bijąca z gorzkich słów Devlina. Stracili pierwszy poważny ślad, ich jedyny do tej pory ślad prowadzący do kręgu podejrzanych o mordowanie obywateli USA i sprzedawanie ich dokumentów tożsamości osobom niepożądanym.

Przełożony Devlina zerknął na mężczyznę przysłuchującego się rozmowie. Nick Jensen, kryptonim Błyskawica, ubrany w smoking od Armaniego, stał z rękami w kieszeniach spodni szytych na miarę u najlepszego krawca. Zaszedł do centrum łączności po drodze do domu z jednej z niezliczonych uroczystych kolacji, w których regularnie uczestniczył. Czekał specjalnie na raport Wiertacza.

Jego żona Mackenzie, elegancka w czarnej jedwabnej sukni i szpilkach, przycupnęła na skraju konsol. W szpilkach czy w zwykłych pantoflach – Mackenzie Blair Jensen była z pewnością osobą, z którą należało się liczyć. Była szefowa działu łączności OMEGI, obecnie kierowała zespołem dostarczającym kilku agencjom w tym OMEDZE, wyposażenia, o jakim

najsłynniejsze instytuty naukowe mogły tylko marzyć. Podobnie jał wszyscy obecni teraz w centrum, w milczeniu czekała aż zdyszany Devlin znów odezwie się na łączach.

– Cholera! Ten, co strzelał, wskoczył właśnie do wozu. Jedzie na południe, drogą wzdłuż wybrzeża. Poślij cie za nim jakiś helikopter.

– Jasne. A do tego... – dyspozytor przerwał, widząc mrugającą czerwoną lampkę. – Nie rozłączaj się, Wiertacz. Mam nagłą rozmowę.

Zmienił częstotliwość, nasłuchiwał przez parę sekund i przełączył na poprzednią linię.

– Właśnie namierzyliśmy telefon do policji w Piedra Rojas. Dzwoni jakaś kobieta z wiadomością o strzelaninie w twojej okolicy. Sądząc z wymowy, to Amerykanka.

– Do diabła! To ta blondynka!

– Co takiego?

– Na plaży była jakaś kobieta. Już miałem się jej po zbyć, kiedy świsnęły kule.

Marszcząc czoło, Błyskawica podszedł do konsoli.

– A cóż ona robiła w naszym punkcie kontaktowym w środku nocy? Stała na czatach? Robiła za przynętę?

Pięć tysięcy kilometrów od Waszyngtonu, Joe Devlin potarł dłonią kark. Od sześciu lat był agentem OMEGI i zdążył się nauczyć, że pozory mylą. Nauczył się też ufać własnemu instyktowi. Z tego, co widział i słyszał na plaży, wywnioskował, że dziewczyna przyszła tam odprawić swoisty obrzęd wyganiania swoich problemów.

– Nie sądzę, że ma z tym coś wspólnego. Wygląda na to, że ukochany odstawił ją na boczny tor, więc nocnym spacerem leczyła świeże rany.

Sądząc z tonu, jakim żaliła się na los mniszki, miała chyba chętkę na przerwanie wielkiego postu. A Devlin miał chętkę, żeby zaspokoić jej głód. Gdyby tylko czas był stosowniejszy ku temu...

– Trzeba ją namierzyć i znaleźć wszelkie dane na jej temat – oświadczył.

– Wiesz, jak się nazywa? – spytał Błyskawica.

– Nie, ale znam numer rejestracyjny jej jeepa.

Na szczęście przybył na plażę odpowiednio wcześniej. Widział nadjeżdżającą kobietę i szedł za nią od samochodu do morza. Zamierzał przekazać numer rejestracyjny do centrum łączności OMEGI, lecz sprawy potoczyły się zbyt szybko. Teraz wyciągnął ciąg liter i cyfr z pamięci i przekazał dyspozytorowi razem z krótkim rysopisem.

– Około dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Pięćdziesiąt pięć kilo. Było ciemno, ale chyba ma piwne oczy.

– Sprawdzimy ją – stwierdził Błyskawica. – A co powiesz o trupie? Znalazłeś coś, co naprowadzi nas na jego tożsamość albo powód pojawienia się w punkcie kontaktowym?

– Nie miałem na to czasu. Teraz wrócę i go obszukam.

– Lepiej się pospiesz. Zaraz wkroczy na scenę miejscowa policja.

Devlin zamknął klapkę urządzenia przypominającego zwykły telefon komórkowy. Mimo niewinnego wyglądu, urządzenie zawierało emiter sygnałów poddźwiękowych, radiostację satelitarną działającą na bezpiecznych częstotliwościach i oprogramowanie szyfrujące – wystarczyłoby do obsługi wyprawy międzygalaktycznej. Mackenzie Blair – błogosławiony

niech będzie jej zmysł przewidywania – uważała, że w dziedzinie łączności nie ma co liczyć na kreatywność agentów.

Wciąż rozglądając się za nieznaną blondynką, Devlin podbiegł do ciemnej bryły omywanej przez fale. Cholera! Kimkolwiek był ten facet, jego niewczesny zgon spowodował zawirowania w przebiegu misji.

Przyklęknąwszy na jedno kolano, Devlin owinał dłoń rękawem koszulki. Przez zaimprovizowaną rękawicę obmacał zwłoki. Znalazł gruby plik pesos przepasany gumką, nóż sprężynowy, jakich pełno na każdym meksykańskim targu, i pojemniczek nici dentystycznych.

Otworzył klapyki niby telefonu i wcisnął jeden klawisz.

– Motyw rabunkowy nie wchodzi w grę. Facet zabrał tajemnicę do grobu.

– Są jakieś dokumenty? – Nic.

Błyskawica skwitował tę wiadomość mruknięciem.

– A co z kobietą? Może podać twoje dane policji?

– Nie zna nazwiska. Ale mogła zapamiętać rysopis.

– Proponuję więc, żebyś zniknął. Będziemy śledzić poczynania miejscowej policji. Tymczasem nie wolno ci się ujawnić.

Devlin potwierdził otrzymane rozkazy, lecz jednocześnie powiódł tęsknym wzrokiem wzdłuż brzegu. Nie znośił wycofywać się bez odpowiedzi na tak wiele pytań, nie wspominając o bardzo zgrabnej, bardzo ponętnej kobiecie, która najwyraźniej była spragniona męskiego towarzystwa.

Żegnaj, Blondynko. Przykro mi, że zostawiam na Twojej głowie cały ten bałagan.

Godzinę później Liz gorzko żałowała, że nie pojechała na posterunek do miasta, zamiast wzywać miejscowych żandarmów. Z pewnością nie przypominali Bruce'a Willisa ze *Szklanej pułapki*.

Pierwszy z funkcjonariuszy dotknął ciała czubkiem buta, nałożył plastikowe rękawiczki i odgonił kraby. Po przeszukaniu kieszeni denata wyjął parę przedmiotów, sporządził ich spis w notesie, a następnie niespiesznie podszedł do Liz.

Opowiedziała przebieg zdarzenia. Funkcjonariusz zanotował informacje i spytał, czy znała zmarłego. Zaprzeczyła.

Mniej więcej w tym samym czasie przybył Subcommandante Carlos Rivera wraz z jednostką do spraw zabójstw. Liz zaczęła, aż inspektor obejrzy zwłoki i wymieni uwagi z żandarmem. Potem zajął się weryfikacją zeznania kobiety. Metodycznie dopytywał o każdy szczegół.

– Twierdzi pani, że nie zna tożsamości zastrzelonego mężczyzny?

– Nie znam.

– A tego Americano? Tego, który, według pani słów, wyłonił się z ciemności?

– Jego też nie znam.

– A mimo to pani z nim rozmawiała.

Liz nie tylko rozmawiała z tym facetem. Poddała się urokowi jego śmiechu i uśmiechu, i pozwoliła mu podejść tak blisko, że mógł jej dotknąć. Co gorsza, pragnęła, żeby jej dotknął.

Prawdę mówiąc, pragnęła czegoś więcej. Właściwie bardzo jej odpowiadała perspektywa wspólnego baraszkowania w przybrzeżnych falach. I jak ocenić taką głupotę?

Lepiej się do tego nie przyznawać przed Subcommandante Riverą.

– Zamieniliśmy ledwie kilka słów – odparła półgłosem.

Inspektor kiwnął głową, zachowując kamienny wyraz twarzy pod daszkiem czapki.

– Może zechce pani raz jeszcze łaskawie wytłumaczyć, co przywiodło panią w środku nocy w tak ustronne miejsce.

Liz przeczesła dłonią zmierzwiłone włosy. Już przeszła przez to pytanie z funkcjonariuszem, który zjawił się jako pierwszy. Cóż, powtórzyła tylko zdawkowe wyjaśnienia.

– Dostałam wiadomość, która mnie przygnębiła. Chciałam się przewietrzyć.

– I nie mogła pani tego zrobić w Piedras Rojas, czyli tam, gdzie pani mieszka?

Po otrzymaniu emaila od Donny ego, Liz pomyślała o wstąpieniu do ulubionej knajpki w mieście i upiciu się na umór. Ale nazajutrz rano miała pracę – planowy lot. Poczucie odpowiedzialności, a także doświadczenie zawodowe nie pozwalały jej zasiąść za sterami w stanie mocno „wczorajszym”. Ponieważ jednak senna miejscina Piedras Rojas nie oferowała innego sposobu ujęcia wściekłości, Liz wybrała się na plażę, paręnaście kilometrów na południe.

Piedras rojas. Czerwone kamienie. Kiedy słońce na horyzoncie zanurzyło się w ocean, a klifowe wybrzeże tonęło w płomiennej poświacie, był to najbardziej niesamowity pejzaż świata. Przez pozostałe dwadzieścia trzy i pół godziny w okolicy unosił się kurz, drzewa usychały, a miejscowa ludność smażyła się w bezlitosnym skwarze.

Przez ostatnie miesiące Liz nie zwracała uwagi ani na kurz, ani na upał, ani na chmary much i oszczędzała każde peso zarobione na przewozie załóg nafciarzy. Zamierzali z Donnym kupić helikoptery i założyć czarterową linię lotniczą. Nie mogła już się doczekać spełnienia marzeń, więc wszystkie oszczędności przeznaczyła na zabezpieczenie kredytu na pierwszą maszynę. Mały, zgrabny turbośmigłowiec „Sikorsky”, obsługiwany przez jednego pilota, miał silnik Rolls Royce’a, luk na dwie tony bagażu i najlepszą charakterystykę autorotacyjną wśród współczesnych helikopterów.

Oszczędności odpłynęły, depozytu nie mogła wycofać, a do tego pozostał kredyt do spłacenia. Znow świat wystawił ją do wiatru. Liz zacisnęła pięści w kieszeniach szortów.

– Nie, w mieście nie miałam warunków do uspokojenia nerwów. Proszę posłuchać, Subcommandante. Powiedziałam wszystko, co wiem. Zakończymy to przesłuchanie?

– W porządku, kończymy. Na razie.

– Świetnie. Wrócę do miasta.

Skinęła głową na pożegnanie, obróciła się na pięcie i ruszyła przez wydmy. Co za fatalna noc! Poprzednią taką noc miała przed kilkoma miesiącami, kiedy żegnała się z Donnym. Wzbraniała się przed długim rozstaniem, podczas gdy Donny wydawał się zachwycony koniecznością powrotu do Malezji i odsłużenia pozostałego okresu kontraktu. Teraz Liz wiedziała, do czego tak się spieszył. Do swojej Bambang! Bambang BaraBara.

Zapuşciła silnik jeepa. Spróbowała wyobrazić sobie twarz Donny’ego jako obraz na

tarczy, do której mogłaby strzelać z łuku. Ku jej zdumieniu, nie udało się to. Przed oczami miała wciąż wysokiego, smukłego Amerykanina, który wyłonił się z mroku nocy i zaćmił w pamięci wizerunek Donny'ego. Nic dziwnego! Miał naprawdę efektowne wejście. Za jednym zamachem wyczyścił dobre pięć lat jej biografii.

Jeśli jeszcze kiedyś ich drogi się skrzyżują, będzie musiała zadać mu szereg podstawowych pytań. Na przykład: co robił o tak późnej porze w tej części plaży? Dlaczego zniknął? I czy wie, kto posłał denatowi kulkę w łeb?

Jechała wąską szosą wzdłuż klifowego wybrzeża, a w jej głowie, niczym rój pszczoł, kłębiły się wątpliwości.

Nazajutrz rano pytania wcale się nie ulotniły. Liz zaparkowała jeepa przy niewielkim regionalnym lotnisku, które obsługiwało kurorty rozrzucone po Rivierze Meksykańskiej. Temperatura powietrza zbliżała się do prognozowanego maksimum, czyli trzydziestu stopni.

Zerknęła na chorągiewkę wiatromierza, smętnie zwisającą na szczycie budynku, pełniącego funkcję zarazem terminalu i wieży kontrolnej. Wyglądało na to, że w kombinezonie pilota ugotuje się, zanim doleci na miejsce. Wzdychając, zdjęła torbę z rzeczami z siedzenia dla pasażera.

Barak z blachy falistej służący za hangar i centrum odpraw linii Aero Baja zajmował kamienisty, porośły kaktusami plac po lewej stronie terminalu. Liz była jednym z trzech pilotów helikopterów w Aero Baja, którzy na mocy kontraktu z AmericanMexican Petroleum Company zapewniali transport załóg i zapasów na olbrzymią platformę położoną siedemdziesiąt kilometrów od brzegu. Wszyscy piloci mieli kwalifikacje do prowadzenia rozmaitych maszyn, ale na platformę latał helikopter beli ranger 412.

Główny mechanik dokonywał właśnie technicznego przeglądu rangera, stojącego na brudnym czerwonym polu lądowiska. Ten model był przystosowany do operacji nadwodnych, zabierał na pokład czternastu pasażerów i rozwijał prędkość do stu dwudziestu węzłów. Miał prawie tyle lat co Liz, na szczęście w skład jego zmodernizowanego oprzyrządowania wchodziły dwa odbiorniki GPS, nowy wysokościomierz i radiostacja, która oprócz standardowych częstotliwości UHF, VHF i HF dysponowała pasmem marynarki wojennej. Helikopter wyglądał jak moskit i prowadziło się go jak Moskita na smyczy, w przeciwieństwie do ciężkich, uzbrojonych po zęby jednostek sił powietrznych, którymi Liz latała wcześniej. Przyzwyczaiła się do cech aerodynamicznych rangera i lubiła zasiadać za sterami.

Mechanik mógł równać się doświadczeniem z maszyną, którą przygotowywał. Po ponad trzydziestu latach służby w meksykańskich wojskach lotniczych od'

szedł na emeryturę i dorabiał sobie w prywatnych liniach. Jorge Garcia potrafiłby rozłożyć i złożyć rangera we śnie.

Liz zaprzyjaźniła się z sympatycznym wąsatym mechanikiem. Ileż piw wypila razem z Jorgem po pracy, ileż zjadła pysznych obiadów, ugotowanych przez jego żonę Marię! Taszcząc ciężką torbę, dołączyła do Meksykanina na lądowisku.

– *Buenos dias*, Jorge, – *Buenos dias*, Lizetta.

Zdrobnienie, jakim ją nazywał, zwykle wywoływało spontaniczny uśmiech Liz. Tego

ranka jednak zmusiła się do uśmiechu. Po nocnych ekscesach na plaży miała podkrążone oczy, a wściekłość z powodu zdrady Donnyego jeszcze nie wyparowała.

– Ranger gotów do lotu?

Uśmiechnięty od ucha do ucha Jorge pieszczotliwie poklepał spracowaną dłońią bak helikoptera.

– Gotów.

Umieściwszy bagaż w kabinie, dokonała obchodu maszyny. Firma AmericanMexican Petroleum Company słono płaciła za przewóz ludzi i ładunku. Liz ze swej strony traktowała swoje obowiązki wobec firmy i wobec pasażerów z pełną odpowiedzialnością. Zanim przetransportowała coś lub kogoś na platformę („do potwora morskiego” – jak mawiali nafcjarze), upewniała się, czy helikopter sprostą trudom lotu.

Jorge dreptał za Liz, odhaczając kolejne pozycje na liście sprawdzanych przez nią urządzeń, od tylnego wirnika po wał napędowy głównego silnika.

– Słyszałeś coś o jakiejś nocnej awanturze w okolicy? – rzuciła zdawkowe pytanie na koniec obchodu.

W porannej gazecie lokalnej nie pisano nic o strzelaninie. Może dlatego, że w Piedras Rojas nigdy nie wychodziła gazeta, ani poranna, ani żadna inna...

– Jakiej awanturze?

– O strzelaninie na plaży, tuż po północy. Chyba skończyło się na trupie.

Oczy mechanika zaokrągliły się nad krzaczastymi wąsami.

– Chcesz powiedzieć, że łażyłaś po plaży w środku nocy?

– Tak. – Sama?

– Tak wyszło.

– Ho, ho, Lizetta, to nierozsądne!

Cóż, nie wypadalo sie spierać. Wydarzenia ostatniej nocy udowodniły, że nie narzekala na nadmiar rozsądku. Senna miejscina Piedras Rojas lezala zaledwie pół godziny jazdy od La Paz, sporego miasta na krańcu półwyspu Baja. La Paz stalo się siedliskiem zbrodni, kiedy bossowie narkotykowi przenieśli swoje interesy z Kolumbii na wybrzeże Pacyfiku.

Jako środek transportu przemytnicy wykorzystywali meksykańskie kutry do połowu tuńczyka, cumujące w portach wzdłuż wybrzeża. Statki były szybkie i wyposażone do kilkumiesięcznych rejsów. W dobrym sezonie tuńczykowy interes przynosił flocie dochody rzędu stu milionów dolarów. Jeden ładunek kokainy wart był dwa razy tyle. I tak narkotyki, korupcja i przemoc wkroczyły w życie codzienne mieszkańców tego zakątka globu.

– Po co polazłaś na plażę po nocy? – nie ustępował Jorge.

– Donny przysłał mi mail – słowa prawdy smakowały gorzko jak olej rycynowy. – Olał mnie. Zadzurzył się w zagranicznej dziennikarce.

Mechanik puścił soczystą wiązkę po hiszpańsku. Liz zrozumiała co dziesiąte przekleństwo i uśmiechnęła się mimowolnie.

– Wiesz, Jorge, zareagowałam mniej więcej tak, jak ty teraz.

Meksykanin podsumował wypowiedź wyjątkowo ekspresyjnym określeniem i zerknął na nią, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

– Wrócisz do Stanów?

– Niewykluczone. Jeszcze się nie zdecydowałam.

– A helikopter, na który oszczędzałaś? A plany otwarcia firmy przewozowej? Do tego nie potrzebujesz tego dupka Donny’ego! Możesz rozkręcić własny biznes, nie oglądając się na niego.

Liz nie przyznała się do opróżnienia konta. Nie widziała sensu w rozgłaszaniu głupoty, do jakiej się posunęła, czyniąc Donny’ego pełnomocnikiem rachunku bankowego. A przecież on nie zrewanżował się pełnomocnictwem dla niej...

Nie zamierzała też utyskiwać, że nie ma z czego zapłacić czynszu, chociaż właśnie mijał termin wpłaty. Musiała schować dumę i poprosić przedstawiciela pracodawcy, niesamowitego podlizucha, o zaliczkę na poczet przyszłej pensji. Na myśl o tym ścisnął jej się żołądek.

– Kiedy otworzę biznes czarterowy, masz murowaną posadę głównego mechanika – zapewniła, po raz enty od kilku miesięcy.

– *Buenol* Stworzymy zgrany zespół, co?

– Jasne.

Zadowolony Jorge powrócił do przeglądu maszyny. Kiedy upewniał się, że z wału napędowego nie ścieka smar, Liz badała wtrysk paliwa i komorę sprężonego powietrza. Odgłos parkującego samochodu obwieścił przybycie pasażerów. Z busika wysiadło sześciu mężczyzn, którzy ruszyli do terminalu. Liz zajęła się znów przeglądem helikoptera, wiedząc, że zaspany urzędnik nie upora się szybciej niż w pół godziny ze sprawdzeniem bagaży (w poszukiwaniu alkoholu i narkotyków), ważeniem pasażerów i bagaży oraz prezentacją filmu o zasadach zachowania się na pokładzie helikoptera, zwłaszcza w wypadku awarii nad oceanem. Kasetę wideo odtwarzana była dwukrotnie, raz w języku angielskim i, ponownie, w hiszpańskim, ale tak łopatologiczny instruktaż zrozumieliby chyba nawet Zulusi.

Kiedy ekipa wyszła z terminalu, uśmiechnięta Liz przystąpiła do odprawy paszportowej, porównując dokumenty z listą dostarczoną przez AmEx. Podobnie jak w przypadku załóg platform, ta grupa również składała się z osobników wielu nacji i profesji. Przewodził jej – byczkowaty wiertacz, Irlandczyk. Za nim stał spawacz z Filipin, potem meksykański radiotelegrafista i dwóch kucharzy, Wenezuelczyków. Wreszcie Liz wyczytała nazwisko ostatniego pasażera.

– Devlin, Joe.

– Obecny.

Charakterystyczna, szeroka wymowa samogłosek od razu rzucała się w uszy. Liz natychmiast podniosła głowę.

– To ty!

– Owszem – odparł z uśmiechem, którego się nie zapomina.

ROZDZIAŁ DRUGI

Devlin spokojnie czekał, aż burza emocji przetoczy się przez twarz kobiety zidentyfikowanej w OMEDZE jako Elizabeth Moore. Po strzelaninie na plaży spędził resztę nocy na zapoznaniu się z danymi osobowymi przekazanymi z kwatery głównej.

Musiał przyznać, że dossier robiło wrażenie. Po ukończeniu wojskowej akademii lotniczej (wynik w czołówce rocznika) Moore postanowiła latać na wiroplacie, ponieważ na takiej właśnie jednostce latał jej ojciec podczas swej długiej, wspaniałej kariery wojskowej. Generał brygady Moore zmarł na zawał w niecały rok po promocji córki, lecz Liz godnie kontynuowała rodzinne tradycje. Przez cztery lata transportowała oddziały specjalistyczne do najbardziej zapalnych punktów kuli ziemskiej. Opuściła służbę z zamiarem otworzenia własnych linii czarterowych.

Niestety, wybitne zdolności pani kapitan Moore nie dotyczyły wyborów jej serca. Według pospiesznie zgromadzonych informacji OMEGI, zadurzyła się w jakimś Donaldzie Carterze i dała się namówić na nudną, choć lukratywną, posadę pilota w Meksyku, podczas]

gdy jej ukochany pracował w Malezji. Od paru miesięcy drań smażył cholewki do pewnej malezyjskiej dziennikarki.

Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby poskładać fragmenty tej układanki. Widocznie Moore dowiedziała się właśnie o romansie narzeczonego i wybrała się na plażę w środku nocy, aby przemyśleć sprawę i wykasować chłystka z pamięci.

Devlin wiele by dał, żeby użyła go jako „wykasowywacza”. W blasku słońca wyglądała jeszcze ładniej niż w świetle księżycy, a przecież w nocy wyglądała baaardzo ładnie. Co prawda zapięty na suwak kombinezon zasłaniał długie, seksowne nogi (które w szortach zaprezentowały się już mężczyźnie w całej okazałości), lecz jasnobrązowa tkanina nie zdołała ukryć zgrabnej figury. I to jak zgrabnej! Devlin zaczynał żałować, że musi odjechać na platformę.

A może nie musi? Sądząc z podejrzliwego wyrazu piwnych oczu kobiety, pojawiła się na to nadzieja.

– Jorge! – marszcząc brwi, wezwała mechanika w poplamionym smarem stroju roboczym. – Zabierz odprawionych pasażerów. Devlin idzie ze mną.

Wręczyła listę Meksykaninowi i ruszyła w stronę blaszanego hangaru. Devlin szedł za nią, z podziwem obserwując ruchy jej sylwetki.

– To tutaj.

Wskazała wejście do biura. Jego umeblowanie stanowiły: zdezelowane metalowe biurko, regał na dokumenty i stary wentylator. Na ścianach – to samo co na każdym lotnisku: prognozy pogody, informacje lokalnej kontroli ruchu lotniczego, upstrzony przez muchy kalendarz z mocno roznieglizowaną panienką.

Devlin ledwie zerknął na obrazek. Uwagę skupił na pani Moore. Kiedy zatrzasnęła drzwi i odwróciła energicznie głowę, jej krótko obcięta czuprynka zafalowała niczym jedwabisty łuk.

Nie marnowała czasu. Przeszła go wzrokiem i przystąpiła do ataku.

– Co robiłeś minionej nocy na plaży?

Devlin oczekiwał tego spotkania od chwili, gdy poznał dossier Elizabeth Moore. Był starannie przygotowany. W tożsamości przyjętej na czas operacji czuł się jak ryba w wodzie. Urodził się i wychował wśród pól naftowych stanu Oklahoma. Pokonał kolejne szczeble drabiny zawodowej – od robotnika niewykwalifikowanego do kierownika szybu. Równolegle zrobił licencjat i magisterium na wydziale górnictwa naftowego. Wiercił w dnie każdego oceanu, od Zatoki Adeńskiej po Cieśninę Beringa.

Zdażył też zaliczyć szybki ślub i szybki rozwód. Candace twierdziła z początku, że jego wysoka pensja zrekompensuje długie okresy rozłąki, lecz wkrótce poszukała sobie zastępczego towarzystwa. Devlin jej nie winił. Wszak rozwód to ryzyko wpisane w zawód nafcjarza.

W jego życie wkraść się jeszcze większy chaos, kiedy zgłosił akces do OMEGI. Nick Jensen alias Błyskawica pozyskał go jako agenta tuż po zamachu terrorystycznym na amerykańską platformę na wodach międzynarodowych, w pobliżu wybrzeża Kuwejtu. Devlin stracił w eksplozji kilku przyjaciół i skwapliwie skorzystał z szansy wsparcia rządu w akcji schwywania morderców i postawienia ich przed sądem.

Niedawno znów zniknął jego przyjaciel, bardzo bliski, Harry Johnson. Złapano człowieka, który posługiwał się jego paszportem – wstrętnego typu, sprowadzającego kobiety do domów publicznych. Specjaliści z kilku agencji próbowali wydusić z niego zeznania, lecz niewiele wskórali. Okazało się, że nigdy nie spotkał człowieka, którego dokumentami się legitymował. Odebrał je w umówionym miejscu, po uprzednim uiszczeniu sowitej sumki.

Nigdy nie znaleziono też ciała Harry'ego. Jego narzeczona i znajomi wiedzieli tylko tyle, że zniknął po wymianie załóg na platformie firmy AmMex i że jego paszport zatrzymali urzędnicy na jednym z przejść granicznych, oddalonym od rejonu, w którym działał gang kradnący paszporty cudzoziemców. Devlin poprzysiągł sobie znaleźć oprawców Johnsona i nie pozwoliłby, aby ktokolwiek, z panią kapitan Moore włącznie, przeszkodził w jego misji.

Przysiadając na brzegu biurka, udzielił odpowiedzi na ostatnie pytanie kobiety. Zręcznie przemieszał fikcję z faktami.

– Poszedłem na plażę na spotkanie z pewnym człowiekiem. Miał do sprzedania sprzęt, który przydałby mi się w pracy na platformie.

– Dlaczego nie przyszedł do hotelu, żeby dobić targu?

– Przypuszczam, że zdobył ten sprzęt nie całkiem legalnie, albo na platformie, albo po zejściu na ląd.

Nie zdarzało się to zbyt często, ale jednak. Członkowie załóg rekrutowali się chyba ze wszystkich krajów świata, co utrudniało komunikację z nimi, zaś nieustanna rotacja stwarzała okazję do przywłaszczania kosztownych narzędzi i rzeczy osobistych.

Nadal podejrzliwa, Liz nerwowo zastukała czubkiem buta o podłogę.

– Wiec kto wynajął snajpera? Ten przedsiębiorca o lep kich rączkach?

– Możliwe. Albo ten, kogo okradziono. Snajper ulotnił się w momencie, kiedy podbiegłem do ofiary.

– Już do denata czy jeszcze wtedy żył?

– Dostał kulkę między oczy. Trudno być bardziej martwym po takim strzale.

Znów zastukała butem.

– Ty go nie zabiłeś – nachmurzyła się. – Ręczę za to Dlaczego zatem uciekłeś?

– Dopiero wczoraj przyjechałem do Meksyku na wymianę załóg. – I znów kłamstwo, po którym nastąpiła prawda. – Na tyle jednak znam sytuację, żeby nie mieszać się w podobne awantury, chyba że chce się mieć do czynienia z *federales*.

– I zostawiłeś mnie z tym ambarasem, żebym złożyła zeznanie?

Z jej wzroku biła pogarda. Odparł atak wzruszeniem ramion.

– Wróciłem, żeby cię odszukać. Ale ty też już zniknęłaś ze sceny.

– Mylisz się! Pobiegłam do samochodu po komórkę, żeby wezwać policję.

Zerknął spod oka z niedowierzaniem.

– Naprawdę chciało ci się czekać na gliny?

– Ktoś musiał.

Zaczekał, aż wybrzmi cięta riposta, a potem uśmiechnął się.

– Przyznaję, że powinienem poważnie się zastanowić, zanim zostawiłem cię tam samą – wyznał ze szczerym żalem w głosie. – Gdybym został, może załapałbym się na konfitury.

Aluzja do płomiennej przysięgi, złożonej przez rozwścieczoną kobietę w obliczu morza, była aż nadto przejrzysta. Liz zaczerwieniła się po uszy i dumnie podniosła głowę.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu, Devlin. Nie jesteś w moim typie.

– O ile pamiętam, nie zgłaszałaś zapotrzebowania na konkretny typ urody męskiej.

Twarz Liz przybrała barwę rozpalonej cegły.

– To już nieaktualne dane.

Wstał z biurka i podszedł do rozmówczyni. Nie zauważył u niej śladu makijażu, lecz tak wyraziste brązowe oczy nie potrzebowały cienia i tuszu, by dodać sobie głębi i inteligencji. A kilka piegów na nosie tylko dodawało jej powabu. Charakterystyczny zapach też podziałał na Devlina podniecająco – mieszanka aromatów mydła, dezodorantu i paliwa lotniczego.

Stanowczo powinien przejąć inicjatywę w rozmowie, aby zapobiec zadaniu niebezpiecznych pytań. Uśmiechnął się z przekąsem.

– A jakie masz aktualnie upodobania? Może zmieszczę się w granicach normy?

– Za to ja nie zmieszczę się w granicach przyzwoitości! Reszta pasażerów przez ciebie smaży się w upale.

– Ja tylko tak tańczę, jak mi zagrasz.

Pokręciła głową, z dezaprobatą i niedowierzaniem.

– Wcale nie jesteś takim kowbojem, jakiego udajesz.

– Co za spostrzegawczość! Ale ja już nieraz to słyszałem w życiu.

Za żadne skarby nie potrafiła go rozgryźć. Z pewnością wyglądał jak obieżyświat. Promienie słoneczne nadały jego włosom złocisty odcień. Słońce i wiatr spaliły jego skórę na brąz i tylko w kącikach oczu jaśniały zmarszczki jak białe kreseczki. Podbródek i policzki pokrywał kilkuniedniowy zarost, jak gdyby Devlin w konkurencji długości brody chciał wyprzedzić kolegów, którzy dopiero na platformie przestawali się golić. Liz poczuła też

zgrubiałą skórę na dłoni, która nagle znalazła się na jej karku. Znieruchomiła pod dotykiem szorstkich palców. Posłała zuchwalcowi ostrzeżenie wzrokiem, lecz zignorował czytelny sygnał.

– Skoro nie chcesz zdradzić swoich upodobań, może ja coś zaproponuję? Na przykład pocałunek? – Nie zdejmując ręki z szyi Liz, pochylił się i musnął wargami jej usta.

Wciąż stała nieruchomo, zastanawiając się, czy wystarczy dźgnąć go łokciem w brzuch, czy też od razu zadać cios w najczulszy męski punkt. Devlin maksymalnie wykorzystał okazję, jaką stwarzało krótkie zawahanie. Zaatakował jej usta z gorliwością, jakiej Liz nie zaznała od siedmiu miesięcy. A może nawet dłużej, jak stwierdziła zaszokowana intensywnością własnych doznań. Z goryczą doszła do wniosku, że nie pamiętała, kiedy ostatni raz przeżyła tak namiętny pocałunek. Poczynania Donny’ego nie mogły się równać z tym, co wyczyniał Devlin.

Z rozmysłem przedłużyła miłą chwilę o sekundę lub dwie, nim oderwała się od ust mężczyzny i złośliwością powetowała sobie bolesny powrót do rzeczywistości.

– I co, podbudowałeś sobie samoocenę, kowboju?

– Chyba tak.

– Uznam więc ten wybryk za skutek mojego głupiego stwierdzenia zeszłej nocy, a ty stąd zmiataj. – Spojrzała mu prosto w oczy. – A spróbuj tylko znów mnie dotknąć bez pozwolenia, to wylądujesz w podskokach na jakiejś platformie za kołem polarnym.

Odwróciła się na pięcie i dzielnie wyszła z biura na skwar. Jorge, z pytającym wzrokiem, czekał przy lądowisku. Odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Wsiadajcie na pokład i zapnijcie pasy – surowym tonem poleciła grupce czekających nafciarzy.

Devlin dołączył do towarzyszy. Liz zajęła miejsce za sterami, zapięła pasy i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak gładko kupiła historyjkę o złodzieju, z którym Devlin miał się spotkać na plaży.

Marszcząc czoło, zaczęła metodycznie pokonywać kolejne etapy procedury startu. Zawyły silniki. Piętnastometrowy wirnik ruszył, coraz szybciej, wzbijając kłęby pyłu. Liz nawiązała łączność z wieżą kontrolną. Kiedy dostała pozwolenie na start, do gry wkroczyło wieloletnie doświadczenie. Nie każdy pilot mógłby się pochwalić tak wszechstronnymi umiejętnościami koordynacji. Liz potrafiła obsługiwać i maszyny startujące tradycyjnie, i te ze startem pionowym. Lubiła swoją pracę, która dostarczała jej sporej dawki adrenaliny.

Dwadzieścia minut lotu minęło w okamgnieniu. Mając pod sobą bezkresny obszar błękitnego, skrzącego się Pacyfiku, wzięła kurs na platformę wiertniczą nr 237 AmericanMexican Petroleum Company. Na ustach czuła wciąż smak ognistego pocałunku.

W ciągu minionych siedmiu miesięcy odbyła około pięćdziesięciu lotów na platformę AM237, lecz za każdym razem widok olbrzymiej stalowej wyspy zapierał dech w piersiach. Nad konstrukcją o powierzchni miejskiej dzielnicy górowały dwa gigantyczne dźwigi i żuraw masztowy.

Zamocowana do dna za pomocą łańcuchów i dwudziestopięcotonowych kotwic konstrukcja oparta była na pontonach i prostopadłościennych kolumnach. Po zajęciu

wyznaczonej pozycji nad odwiertem w złożu naftowym, kolumny napełniano wodą. Wtedy pontony zanurzały się na odpowiednią głębokość i amortyzowały ruchy powierzchni platformy, nadając jej względną stabilność.

Względną – to kluczowe słowo. Pilot, celujący na lądowisko wyrastające siedem pięter nad powierzchnię wody, musiał wziąć w rachubę nawet najmniejszy ruch w pionie. Sekret polegał na tym, żeby dotknąć lądowiska, kiedy znajdowało się w apogeum. Jeśli natomiast lądujący helikopter natrafił na ruch wznoszący platformy, i pilotowi, i pasażerom serce podchodziło do gardła.

Liz wybrała kierunek na zawietrzną i w odległości pół kilometra od celu wprawiła helikopter w spiralę opadającą. Od wschodu widziała znajome punkty orientacyjne – pękate pomarańczowe pompy napełniające zbiorniki tankowców. Zrównała się z linią pomp, aby podejść do końcowego manewru.

– AM237, tu Aero Baja 214. Podchodzę.

– 214, słyszę cię. Rozkładamy dywan powitalny. Podczas gdy operatorzy dźwigów obniżali wysięgniki, aby dać helikopterowi wolną przestrzeń, statek pomocniczy zajmował pozycję przy pontonie najbliższym lądowiska. W razie awarii lub gdyby helikopter wylądował w morzu, zadaniem statku byłoby wyłowienie rozbitków.

Oficer odpowiedzialny za transport lotniczy wdrapał się na poziom lądowiska. W kamizelce odblaskowej był świetnie widoczny. Chociaż wiedziała, że naprowadzanie helikopterów to dla niego tylko zajęcie dodatkowe, wykonywał je sumiennie od dawna i Liz całkowicie mu ufała. Zerkając jednym okiem na panel z przyrządami, a drugim na sygnalizację ręczną oficera, naprowadziła maszynę w odpowiednie miejsce i miękko posadziła ją na lądowisku. Grupa robotników w czerwonych kamizelkach zanurkowała pod wirnikami, aby przymocować helikopter do pokładu, a Liz zgasła silniki i przez mikrofon obwieściła koniec lotu.

– Witajcie na platformie AM237, panowie. – Zręcznie przerzuciła nogę nad drążkiem i przedostała się do kabiny pasażerskiej. – Zbierajcie manatki i podajcie kolegom – poinstruowała nowo przybyłych. – I trzymajcie się lin bezpieczeństwa, kiedy wyjdziecie na pokład.

Zadomowieni na platformie nafciarze znali obowiązujące tu przepisy, lecz pytający wzrok przybyszów zdradzał, że nie wszystko zrozumieli. Liz powtórzyła polecenia po hiszpańsku, stosując dodatkowo bogatą gestykulację. Pasażerowie z wyraźnym lękiem wyjrżeli z helikoptera. Przetykając nerwowo ślinę, mierzyli wzrokiem odległość między lądowiskiem a taflą wody.

– Tylko się nie posikajcie – poradził tubalnym głosem postawny Irlandczyk. – Trzymajcie się liny, a kiedy już zejdziecie, dalej będzie solidna drabina.

Osilek popędził kolegów, energicznie klepiąc dłonią w maskę maszyny. Kabina opustoszała. Został tylko Devlin. Mężczyzna przekazał bagaż czekającemu robotnikowi i spojrzał na Liz.

– Jak często robisz rundkę nad oceanem?

– Pięć, sześć razy w miesiącu. Zależy o tego, czy zmienia się załoga, czy też trzeba

dowiedź zaopatrzenie.

– Może zobaczymy się przy okazji twojej następnej wizyty?

– Może.

Zrobił krok w jej stronę. Złotopłowe włosy rozwiewał mu morski wiatr, wpadający przez otwarte drzwi.

– Mam twoje pozwolenie?

– Pozwolenie? Na co?... Ach, nie! Żadnego dotykania, Devlin, a już szczególnie całowania.

– Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania? Spędzę tu długie samotne dwadzieścia osiem dni.

– Uśmiechniesz się jak głupi do sera i jakoś to zniesiesz.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Żartobliwie zasalutował, zręcznie zszedł na lądowisko, a następnie po drabince na pokład główny.

Liz dopilnowała rozładunku zapasów, odebrała pocztę do wysłania i poprosiła oficera, który dawał sygnały przy starcie, żeby wstrzymał grupę pasażerów szykujących się do odlotu z platformy.

– Muszę porozmawiać z przedstawicielem firmy – wyjaśniła, zaczesując dłonią niesforne włosy. – Gdzie go znajdę?

– Poszukaj w kambuzie. Conrad zwykle zachodzi tam rano, popija kawę i zalewa... hm, po prostu zalewa kawę wrzątkiem.

Uśmiechnęła się ironicznie. Miała już do czynienia z miejscowym przedstawicielem AmMex Petroleum i nie wątpiła, że zostanie go w nastroju do prawienia kazań każdemu, kto będzie miał szczęście (nieszczęście) wejść na jego orbitę.

Po stalowych schodkach dotarła na pokład, do głównego modułu pływającego kolosa. Wkroczyła jakby w inny świat. Panował tu wieczny zaduch świeżej farby i oleju napędowego. Wiecznie pracująca maszyna stuknęła rytmicznie jak serce platformy. Metalowe elementy konstrukcji nieustannie skrzypiały.

Olbrzymie kotwice i stabilizatory amortyzowały ruch tej sztucznej wyspy, lecz Liz parę razy musiała chwycić się poręczy. Drogę do kuchni wskazywał zapach smażonej cebuli. Oczywiście przedstawiciel firmy siedział w stolówce rozparty na krześle, przy błyszczącym od czystości tekowym stole dla oficerów i wygłaszał przemowę.

Sympatyczny, uprzejmy Conrad Wallace miał jedną podstawową wadę: odporność na jakiegokolwiek zabiegi uciszenia jego słowotoku. Nigdy nie męczył się też brzmieniem własnego głosu. Tego dnia obrał sobie za temat jakiś drużynowy turniej pingponga, który najwyraźniej nie poszedł po jego myśli. Słuchaczką monologu Wallacea była pochodząca z Pakistanu lekarka, która ze szklanym wzrokiem siedziała po drugiej stronie stołu i na widok Liz ożywiła się, ujrawszy w niej zapewne swoje wybawienie.

– Witaj, Elizabeth. Przywiozłaś wodoodporne flamastry, o które prosiłam?

– Oczywiście.

– A matronidazol w tabletkach?

– Złożyłam zamówienie priorytetowe. Dostarczę ci natychmiast po nadejściu przesyłki.

– Dziękuję. To bardzo potrzebny lek. A teraz przepraszam cię, Conrad, ale muszę dokonać inwentaryzacji nowej dostawy.

Lekarka pospiesznie opuściła stołówkę, a Liz naląła sobie kawy. I oficerom, i ponadstuosobowej załodze nieźle żyło się na platformie. Mieli pokoje o standardzie hotelowym, stołówka serwowała dania kuchni z różnych stron świata, w sali widowiskowej można było oglądać telewizję satelitarną i filmy DVD, a wyposażenia siłowni nie powstydziliby się sam Arnold Schwarzenegger. Firmy naftowe musiały zapewniać pracownikom takie warunki plus wysokie pensje, aby przyciągnąć ludzi do pracy, która skazywała ich na wielomiesięczne przebywanie z dala od cywilizacji.

Liz usiadła z filiżanką na tapicerowanym fotelu kapitana. Przedstawiciel firmy natychmiast dosiadł się i podjął swój monolog dokładnie od miejsca, w którym go przerwał.

– Mówiliśmy właśnie o zwycięskim strzale, który zakończył wczorajszy turniej ping-ponga. Czy ktoś już ci o tym opowiadał?

– Nie, dopiero przyleciałam.

– To było niesamowite. Piłeczka odbiła się od rufy, potem uderzyła w czoło jednego z widzów i z powrotem wpadła na stół. Żaden sędzia nie uznałby takiego zagrania, ale wiesz, jak to bywa z cudzoziemcami. Tworzą własne reguły, jak im się podoba.

Liz przypomniała rozmówcy, że platforma stoi na wodach terytorialnych Meksyku i że to on w istocie jest cudzoziemcem, ale Wallace nie zamierzał zmieniać tematu. Liz postanowiła więc od razu przejść do rzeczy.

– Chciałabym dostać wcześniej wypłatę za przyszły miesiąc.

Wallace zmrużył oczy i wydał usta. Liz dobrze знаła tę minę. Mina służbowa numer jeden.

– Wypłata była tydzień temu – obwieścił oficjalnie, jak gdyby kobieta dopiero od niego dowiadywała się o tym fakcie. – Nie powiesz chyba, że z sowitej sumki, którą AmMex ci płaci, nie zostało już ani śladu?

Określenie „sowita sumka” padało zawsze przy okazji przedłużania kontraktu Liz.

– To moja sprawa, co robię z pensją, Conrad. Słyszac chłodną ripostę, Wallace zmarszczył czoło i poruszył się niespokojnie na krześle. Był wysoki i mocno zbudowany, lecz dzięki pracy za biurkiem, tu i ówdzie nabrał tłuszczu, w przeciwieństwie do muskularnych pracowników obsługujących szyb i wykonujących prace pomocnicze. Takich jak Joe Devlin.

Nie miała ochoty na słuchanie kazań. Zirytowana, wyłożyła kawę na ławę.

– Potrzebuję sześćset dolarów.

Bogu dzięki, utrzymanie było w Meksyku znacznie tańsze niż w Stanach. Taka suma wystarczyłaby na ratę pożyczki i na przetrwanie do następnej wypłaty.

– Sześćset? – powtórzył machinalnie, wystraszony, jak gdyby przyszło mu poświęcić życie pierworodnego syna.

Nie czuła się zaskoczona taką reakcją. Człowiek zarządzający wielomilionowym budżetem firmy sływał ze skąpstwa. Żartowano, że czule żegna się z każdym centem.

– Nie od dziś podziwiam, jak wspaniale dbasz o interesy firmy. Conrad, prawdziwy ojciec! I tak emocjonalnie podchodzisz do każdego wydatku.

– Zgadza się! Każdy najdrobniejszy fakt, który dotyczy firmy, wpływa na jej wizerunek i kondycję finansową, a co za tym idzie, na kurs jej akcji na giełdzie. A ponieważ część mojego wynagrodzenia, a potem także emerytury, jest wypłacana w akcjach, zobowiązuje mnie to do...

– Rozumiem doskonale – Liz przerwała bezceremonialnie tyradę, którą znała na pamięć.

– Zobowiązuje cię to do pilnego strzeżenia funduszy firmy. Tak więc, dasz mi sześćset dolarów czy nie?

– W porządku. Dam. Ale musisz podpisać czek. Chodźmy do mojego gabinetu.

Pół godziny później Liz poderwała helikopter do lotu. W kieszonce kombinezonu miała sześćset dolarów, a w kabinie pasażerskiej – tryskającą energią załogę powracającą na ląd. Przed nią rozciągało się czterdzieści minut otwartego morza. Tyle razy leciała tą trasą, że mogła zdać się na autopilota i skupić myśli na analizie sytuacji, w którą wplątał ją Donny.

Najpierw zamierzała wynająć adwokata i ścigać niewiernego narzeczonego, ale duma i resztki rozsądku kazały jej ocenić ten pomysł jako niedorzeczny. Musiała zacisnąć zęby i wytrwać w Meksyku jeszcze parę miesięcy. Przy oszczędnym życiu powinno to wystarczyć na spłatę pożyczki i stanięcie na nogi.

Parę miesięcy, a więc prawdopodobnie będzie odwoziła Devlina na ląd po zakończeniu zmiany. Do diabła, znów Devlin! Krążył w jej pamięci jak złowrogie widmo. I jeszcze ta propozycja świadczenia usług jako ogier!

Pał diabli. Jeśli będzie transportowała Devlina z platformy, może skorzysta z oferty? Co prawda nie do końca mu ufała i nie kupiła jego wersji wydarzeń na plaży, lecz nie przeczyła, że pocałunek w biurze linii lotniczej ściał ją z nóg.

Pamięć podsunęła obraz, ostry jak w nowoczesnym telewizorze: błyszczące oczy Devlina, kiedy pochyła się nad nią i dotyka gorącymi wargami jej ust. Liz przeklinała własną lekkomyślność i niekonsekwencję. Ledwie dziesięć godzin wcześniej rzucił ją facet, a ona już fantazjowała o następnym! Po stokroć idiotka!

Poczuła odrazę do samej siebie. Wyłączyła autopilota i skierowała maszynę ku łące pocztówkowemu pejzażowi linii brzegowej na horyzoncie.

Gdy tylko płozy dotknęły lądowiska, a Jorge podłożył bloczki, pasażerowie wysypali się z kabiny, żeby jak najszybciej przejść odprawę celną i ruszyć dalej, najczęściej – autobusem do La Paz, skąd lecieli w różne miejsca Ameryki Południowej, od Azorów po Cieśninę Malakka. Kilku nafiarczy zamierzało skierować się do najbliższego miasteczka i znaleźć ulgę w ramionach profesjonalistek, słono liczących sobie za tę przysługę. Najpierw jednak czekało ich spotkanie z meksykańskim urzędnikiem, który zazwyczaj kontrolował dokumenty grup przywożonych przez Liz.

Dziś, oprócz znajomego biurokraty, znużonego stemplowaniem paszportów, w biurze pracował drugi urzędnik. Nigdy wcześniej go tu nie widziała.

– Co się dzieje? – zagadnęła Jorgego, podając mu torbę z pocztą. – Co to za ekstra *funcionariid*?

– Nie wiem.

Ciekawe. Może historyjka Devlina nie odbiegała od prawdy? Może któryś z robotników

rzeczywiście ukradł drogi sprzęt i władze sprawdzały wszystkie ekipy wracające z platformy? Ale Wallace nie wspomniał o żadnej kradzieży. Taki gaduła nie omieszkałby opowiedzieć o najświeższych sensacjach.

– Może ma to coś wspólnego z tą sprawą.

Jorge wyjął z kieszeni kombinezonu wycinek z gazety. Na niewyraźnej kserokopii fotografii widniała twarz mężczyzny, którego Liz nie rozpoznała, ale gdy przeczytała podpis po hiszpańsku, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Czy tu jest napisane to, co ja myślę, że jest napisane?

– *Si!* Nagroda! Pięćdziesiąt tysięcy pesos za informację o tym, kto zastrzelił tego człowieka zeszłej nocy.

– Zeszłej nocy, tak?

Liz zwilżyła językiem usta. Przywołała w pamięci widok zakrwawionego ciała dryfującego tuż przy brzegu.

– To Martin Alvarez – wyjaśnił zaszepiony Jorge. Nazwisko nic jej nie mówiło, co bardzo zdziwiło Meksykanina. Młasnął językiem z dezaprobatą.

– Ayyyy, Lizetta! Nie znasz go?! – Nie.

– To siostrzeniec Eduarda Alvaraza. Tego, co ma ksywkę „El Tiburón”.

El Tiburón. Rekin. Wreszcie zrozumiała.

Ciało Liz pokryło się gęsią skórką. Z trudem przetykając ślinę, gapiała się na zdjęcie siostrzeńca jednego z najpotężniejszych, najokrutniejszych bossów mafii meksykańskiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

El Tiburón. Złowieszczy przydomek przez cały dzień wybrzmiewał w uszach Liz jak echo. Podczas pobytu w Meksyku nieraz słyszała o tym człowieku, ale nigdy nie słyszała *nic* dobrego.

Po pracy pojechała do domu, żeby zdjąć przepocony kombinezon lotniczy i wziąć prysznic. Odświeżona, wygodnie ubrana w klapki japonki, dzinsy i bawełnianą bluzkę bez rękawów, wskoczyła znów do jeepa i ruszyła do ulubionej knajpki na ciepłą kolację. Po uliczkach spacerowali turyści, lecz większość z nich wybrała koktajl przy basenie w którymś z modnych kurortów położonych wzdłuż klifowego wybrzeża zatoki.

W „El Poco Lobo” kłębił się tłum sklepikarzy, sprzedawców z kramów ulicznych i rybaków wracających z połowu, lub marynarzy świętujących zakończenie rejsu z bogatymi amatorami nurkowania w oceanie. Przy barze panował ścisk. Dekorację lokalu stanowiła piramida butelek po rumie „Corona” wypełnionych czerwonymi kamykami, ustawiona na tle upstrzonego przez muchy lustra. Liz zwykle siadała przy jednym z kulawych stolików na powietrzu, lecz właścicielka knajpki ruchem ręki zaprosiła ją do środka.

– *Hola*, Elizabeth.

– *Hola*, Anita.

Czarne oczy Meksykanki wyrażały bezbrzeżną ciekawość.

– Czy to prawda? Byłaś wczoraj w nocy na plaży?

– Tak. Jaką specjalność zakładu podajecie dziś wieczór?

– Pieczoną wieprzowinę z fasolą. Zaraz przyniosę, a ty nam opowiesz, co się dzieje, prawda?

Pochylona nad wielką porcją soczystej *carne asada*, Liz starała się przedstawić w odpowiednim świetle wydarzenia minionej nocy. Tak, słyszała strzały – tu streściła przebieg rozmowy z Subcommandante Riverą. Nie, nie widziała, kto strzelał. Nie, nie wiedziała, kto został zastrzelony – dopóki Jorge jej tego nie powiedział.

Zdołała uchylić się od odpowiedzi na zbyt docieklive pytania. Niestety, nie udało się uniknąć spotkania z dwoma osobnikami, którzy czekali przy schodkach do mieszkania, w cieniu rozłożystego palisandru, tam, gdzie zawsze parkowała jeepa.

Dwóch osiłków wyszło zza grubego pnia. Pierwszy, niski, przysadzisty, utykał. Drugi miał na sobie lawendową koszulę, czarne luźne spodnie i biało-czarne półbuty. Ekstrawaganckie półbuty mogły wywołać uśmiech, natomiast ostentacyjnie wystająca spod koszuli kabura budziła lęk.

– El Tiburón chce z tobą porozmawiać – oznajmił niższy po angielsku.

– A jeśli ja nie chcę rozmawiać z El Tiburón?

Mężczyźni najwyraźniej uznali to pytanie za retoryczne, ponieważ całkiem je zignorowali. Nie wydawali się też szczególnie zaskoczeni, gdy Liz ukradkiem wsunęła rękę w kieszeń na drzwiach kierowcy. Nic dziwnego. „Półbuciarz” wyjął zza pleców składany paralizator, który kobieta trzymała w samochodzie na wszelki wypadek.

– Tego szukasz?

Z ironicznym uśmiechem podał jej pałkę i bez pytania wgramolił się na ciasne tylne siedzenie jeepa. „Niski” zajął miejsce z przodu, na fotelu pasażera.

– Jedź drogą wzdłuż wybrzeża na południe, w kierunku Cabo San Lucas. Powiemy ci, gdzie skręcić.

Liz pospiesznie analizowała sytuację. Mogła odmówić podporządkowania się poleceniom, ale to prawdopodobnie nie oznaczałoby nic przyjemnego. Mówiąc prościej: kulkę w łeb. Mogła krzyknąć, użyć pałki – ze skutkiem jak powyżej. Mogła też wybrać się na przejażdżkę w miłym towarzystwie.

Wzruszając ramionami, włączyła silnik i wyjechała tyłem spod drzewa. Żałowała, że w ogóle wróciła do domu przebrać się po pracy. Klapki i dzinsy to nie najlepszy strój na wizytę u lokalnego króla mafii. Zresztą kombinezon pilota nie uchroniłby jej lepiej przed strzałem z Uzi. Ach, gdybyż miała kamizelkę kuloodporną...

Po prawej stronie szosy do Cabo skrzyły się wody Pacyfiku, po prawej – ze spalonej słońcem pustyni Baja wyrastały tu i ówdzie kaktusy. Im bliżej koniuszka półwyspu, tym klifowa linia brzegowa stawała się bardziej poszarpana, a ośrodki czasowe coraz okazalsze. Kilka kilometrów za Todos Santos Niski kazał jej skręcić w zwirową drogę, prowadzącą do wysokiego ogrodzenia z żółtej cegły. Rozsypane na szczycie muru tłuczone szkło stanowiło dodatkową barierę dla intruzów. Zwieńczeniem konstrukcji były zwoje drutu kolczastego. Na widok misternie kutej żelaznej bramy Liz zwolniła. Jej eskorta dała znak uzbrojonym strażnikom w krytej strzechą budce, a oni zwolnili blokadę wejścia. Skrzydła bramy rozchyliły się, odsłaniając aleję wysadzaną wysokimi palmami. Gdy tylko jeep znalazł się na terenie posiadłości, wrota zatrzasnęły się, a Liz miała wrażenie, że zamykają się za nią drzwi lochu.

Zaciskając spocone dłonie na kierownicy, jechała dalej w scenerii przypominającej tropikalny raj, charakterystyczny dla kurortów o najwyższym standardzie. Gęste trawniki przycięte były równiutko co do milimetra. Krzewy bugenwilli eksplodowały koszyczkami czerwonych, różowych i pomarańczowych kwiatów. Fontanny wypuszczały strumienie wody z regularnością szwajcarskich zegarków.

Na końcu podjazdu stała imponująca budowla, wzorowana na tradycyjnych meksykańskich chatach. Drewniana stolarka okienna i drzwiowa pomalowana była na turkusowy kolor – taki jak barwa morza w słoneczny dzień. Eskortowana przez Niskiego i Półbuciarza, Liz wkroczyła do holu, w którym panował błogosławiony chłód.

– Tędy.

Japonki kłapały głośno na pięknej marmurowej posadzce. Ciąg widnych, przestronnych pokojów wiódł ku gabinetowi urządzonemu jak biuro finansisty z Wall Street. Na wielkim plazmowym telewizorze migały wykresy notowań giełdowych. Najnowocześniejszy komputer z dwudziestotrzycalowym monitorem zajmował szklany blat biurka. Jedynym akcentem ocieplającym to bezduszne wnętrze, była rodzinna fotografia w srebrnej ramce.

Zdjęcie zrobiono na pokładzie okazałego jachtu. Przedstawiało wysportowanego mężczyznę w kąpielówkach, siedzącego w wiklinowym fotelu. Wyglądał na zrelaksowanego i

szczęśliwego. Przytulał uśmiechniętą kobietę, a za ich plecami stała dwójka dzieci (może wnuków), strojących zabawne miny.

Biżuterii zdobiącej kobietę wystarczyłoby do zapelnienia sklepu jubilerskiego. Oczko pierścionka miało rozmiar śliwki, diamentowe kolczyki odpowiadały wielkością winogronom, a złoty Rolex na nadgarstku mienił się dwoma tuzinami szafirów.

Mężczyzna ograniczył błyskotki do jednej: złotego łańcucha ze swoistym amuletem – zębem rekina, którego biel odcinała się od ciemnego zarostu na piersi. Olbrzymi ząb musiał należeć do olbrzymiego rekina. Liz odruchowo przełknęła ślinę. Wyobraźnia podsunęła jej sugestywne sceny z filmu *Szczęki*.

Nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł mężczyzna z fotografii. Wysoki, szczupły, z nienagannie przyciętymi szpakowatymi włosami, ubrany był w brązowe spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami i monogramem wyhaftowanym na kieszonce.

– Witam w moich skromnych progach, pani Moore. Wyciągnął rękę. Liz zawahała się z podaniem dłoni.

Rekin nie sprawiał wrażenia zbira lubującego się w ćwiartowaniu zwłok. Marne pocieszenie. Mafiozo sływał przecież z szacunku dla zwłok wrogów...

– Dziękuję, że zgodziła się pani na rozmowę.

– Nie miałam wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór. Proszę usiąść. Wskazał jeden ze skórzanych foteli otaczających szklany stolik do kawy.

– Czy mogę zaproponować coś do picia po długiej podróży? Polecam Dos Equis z lodem. Sądzę, że gustuje pani w tym trunku.

– Na razie dziękuję.

Ho, ho! Facet znał nazwę jej ulubionego piwa. Po plecach Liz przebiegł dreszcz. Co jeszcze o niej wiedział? Jak się zaraz przekonała, całkiem sporo.

– Zatem przejdźmy do interesów. Przyjaciel, który pracuje na posterunku w Piedras Rojas powiedział mi, że zło? żyła pani zeznanie na temat nocnej strzelaniny na plaży.

– Owszem – odparła z lekkim wahaniem.

– Według tego przyjaciela, widziała pani martwego człowieka dryfującego przy brzegu.

– Zgadza się.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– To był mój siostrzeniec.

Szukała w jego wzroku oznak bólu lub żalu. Jeśli nawet coś czuł, starannie to ukrywał. Mimo to pospieszyła z kondolencjami.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci tak bliskiej osoby.

– Kondolencje należą się mojej siostrze.

Ciałem Liz znów wstrząsnął dreszcz. O ile dobrze pamiętała z lekcji biologii, rekiny to ryby zimnokrwiste, które często zjadają własne młode.

– Powiedziała pani policji, że nie widziała, kto zastrzelił Martina?

– Nie widziałam. Byłam akurat na plaży w pobliżu. Usłyszałam strzały i pobiegłam zobaczyć, co się stało.

– Skoro pobiegła pani w kierunku strzałów, musi pani być bardzo odważna – stwierdził cedząc słowa. – Albo bardzo głupia.

Liz już wiedziała, że prawidłowa jest odpowiedź B. Devlin miał rację. Powinna zniknąć z miejsca zbrodni.

– Był tam jeszcze ktoś – odezwał się Alvarez, jakby czytając w jej myślach. – Americano. Nie podała pani policji jego nazwiska.

– Nie znam go. Zetknęliśmy się na plaży na kilka sekund przed strzelaniną. Nie zdążyliśmy się sobie przedstawić.

Mówiła prawdę, lecz tylko do pewnego stopnia. *Zeszłej nocy* Devlin i ona pozostali dla siebie anonimowi. Z trudem powstrzymała się od wytarcia spoconych dłoni w materiał dzinsów na udach. Spodziewała się, że Alvarez zaraz powtórzy pytanie w przeformułowanej postaci, na przykład: Czy ma pani jakieś przypuszczenia co do tożsamości tego Amerykanina? Zwrot w rozmowie, dokonany przez gangstera, kompletnie zbił ją z tropu.

– Zaciągnęła pani w Citibanku pożyczkę w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów na zaliczkę za helikopter. Termin spłaty jednej czwartej tej kwoty upływa za trzy dni – oznajmił obojętnym tonem.

Nie było sensu pytać, skąd zna szczegóły jej sytuacji finansowej. Z pewnością nie troszczył się o takie błahostki jak tajemnica bankowa i ochrona danych osobowych.

– Proszę mi powiedzieć dokładnie, co pani widziała na plaży, pani Moore. Jeśli te informacje pomogą namierzyć zabójcę siostrzeńca, anuluję pani dług.

– Co takiego?

Wstrzymała oddech i natychmiast ujrzała w wyobraźni helikopter Sikorsky. Moc sześćset pięćdziesiąt koni mechanicznych siły nośnej. Dobre wytłumienia, niemal całkowita redukcja wibracji. Wygodne skórzane fotele dla pasażerów. I aparatura, o jakiej marzy każdy pilot.

Zdobędzie taką maszynę. Tylko dla siebie. Będzie mogła śmiać się w twarz Donny'emu i Bambang. Wystarczy uzupełnić zeznanie, podać policji nazwisko Devlina i niech wycisną z niego wszystko, co wie.

Jakiś wewnętrzny głos kazał jej tego nie robić. Może obawa przed zabrnięciem w jeszcze głębsze bagno? A może zimny, wyrachowany wyraz czarnych oczu Alvaraza?

– Opowiedziałam policji dokładnie to, co widziałam.

– Proszę więc powtórzyć. Chciałbym usłyszeć relację z pani ust.

– Padł strzał. Nie, dwa strzały. Ten mężczyzna, Americano, pociągnął mnie na ziemię. Potem wstał i pobiegł w stronę, skąd strzelano. Pobiegłam za nim i zobaczyłam, że pochyła się nad czymś, co z daleka wyglądało jak ludzkie ciało. Wróciłam do samochodu, po telefon komórkowy i zadzwoniłam na policję.

– Americano stał nad ciałem?

– Zgadza się.

Alvarez zetknął koniuszki palców i oparł na nich brodę. Milczał. Mijały sekundy. Nerwy odmawiały Liz posłuszeństwa.

– Mój siostrzeniec miał przy sobie coś, co należało do mnie, pani Moore. Policja twierdzi, że nie znaleziono tego przy zwłokach. Chcę to dostać z powrotem.

W tym momencie rozwiały się wszelkie wątpliwości kobiety, czy wyjawić nazwisko Devlina. Alvareza nic nie obchodziła śmierć siostrzeńca. Myślał tylko o swojej własności, cokolwiek to było.

– Sugeruje pan, że okradłam pańskiego siostrzeńca? Niczego nie wzięłam. Czekałam przy samochodzie na przyjazd policji. Nie zbliżałam się do ciała.

Rekin znów zamilkł na chwilę i obserwował ją badawczo wzrokiem drapieżnika.

– Proszę jeszcze raz zastanowić się, czy nie pominęła pani żadnego szczegółu, żadnej informacji, która naprowadziłaby mnie na trop zaginionego przedmiotu.

Ten człowiek ją osaczał, a jednak Liz zdobyła się na wzruszenie ramion.

– Powiedziałam panu wszystko, co widziałam i słyszałam.

Złowieszcze spojrzenie czarnych oczu przyszpiliło ją do fotela. Wreszcie Alvarez kiwnął głową.

– No cóż, dobrze. W każdym razie propozycja jest aktualna. Jeśli przypomni sobie pani jakiś szczegół, który naprowadzi mnie na ślad zabójcy Martina i skradzionej rzeczy, spłacę pani pożyczkę. Juan, odprowadź panią Moore do samochodu.

Spocona jak mysz, Liz wracała do Piedras Rojas z poczuciem ulgi, że ma za sobą spotkanie z Rekinem i jednocześnie z ponurym przeświadczeniem, że to nie koniec kłopotów.

– Devlin, tu draniu! Obym nie żałowała, że ocalałam twój tyłek.

Dwa dni później Liz nadal nie pozbyła się wątpliwości. Kiedy pod biuro linii lotniczych Aero Baja zajechała furgonetka, Liz pokwitowała odbiór dostawy i zawołała głównego mechanika.

– Zatankuj rangera, Jorge. Jest pilna przesyłka z lekarstwami dla doktor Metwani. Muszę ją niezwłocznie dostarczyć na platformę.

– Sprawdziałaś prognozę pogody? Nadciąga front atmosferyczny.

– Widziałam. Zapowiadają wiatr o prędkości trzydziestu węzłów, a na morzu osiem do dziesięciu w skali Beauforta. Powinnam zdążyć polecieć tam i z powrotem, zanim zrobi się nieciekawie.

W razie nagłego pogorszenia sytuacji Liz też dałaby radę dolecieć na miejsce i przeczekać. Nie byłaby to pierwsza noc (choćby chyba ostatnia) spędzona przez nią na platformie. Zyskałaby przynajmniej okazję do miłej pogawędki z pewnym muskularnym nafcierzem. Perspektywa kusząca i warta urzeczywistnienia.

Wkroczyła do pokoju pilotów, którego ciasnota stanowiła temat nieustannych żartów. Wystukała kod zamka szafki i przebrała się z dżinsów i koszulki w brązowy kombinezon linii Aero Baja. Ubranie cywilne wraz z przyborami toaletowymi wylądowało w torbie podróźnej.

Połowę drogi spędziła na rozważaniu, jakie pytania zadać Devlinowi, drugą połowę lotu zajęła walka ze sztormem, którego siła przekroczyła prognozowaną. Deszcz zalewał szyby kabiny, a i wiatr zdążył dać się we znaki, zanim zobaczyła oficera naprowadzającego ją na lądowisko. Ekipa w czerwonych kamizelkach czekała gotowa do unieruchomienia maszyny i rozłożenia plandeki.

– Wygląda na to, że skorzystasz z naszej gościnności, żeby schronić się przed sztormem – stwierdził kierownik zmiany, podpisując odbiór przesyłki.

– Ano wygląda.

– Wiesz, gdzie są kwatery gościnne. Bierz manatki i czuj się jak u siebie w domu.

Liz zniosła torbę do jednego z pokoiów dla osób odwiedzających i labiryntem wąskich korytarzy ruszyła do stołówki. Właśnie skończyła się pierwsza zmiana i tłum zgłodniałych pracowników posilał się, gawędząc przy tym głośno w sześciu językach. Wśród około trzydziestu mężczyzn (i kilku kobiet) Liz nie zauważyła Devlina, toteż zaczęła uśmiechniętego barczystego Irlandczyka, który przyleciał na platformę w tej samej grupie.

– Co tak szybko wróciłaś, malutka?

– Przywiozłam lekarstwa potrzebne doktor Metwani. Szukam Joego Devlina. Widziałeś go?

– Zszedł ze zmiany później niż reszta. Chyba szoruje się teraz w kajucie.

Mogła albo poczekać, albo od razu przystąpić do zbierania informacji o Amerykaninie. Wybrała drugą opcję. Przez salę rekreacyjno-rozrywkową, czyli centrum platformowego życia towarzyskiego i długi korytarz dotarła do skrzydła oficerskiego, w którym znajdowała się kabina z nazwiskiem Devlina na drzwiach. Widok mosiężnej plakietki skłonił ją do refleksji.

Podobnie jak wojsko i inne duże struktury organizacyjne, platformy wiertnicze funkcjonowały według ścisłych zasad hierarchii. Inżynierowie planowali i nadzorowali wszelkie działania. Majstrowie odpowiadali za pracę brygad, które składały się z czterech lub pięciu wiertaczy, operatorów wieży wiertniczej oraz robotników, siłą własnych mięśni umieszczających rurociąg w odpowiednim położeniu. Ci o najniższych kwalifikacjach wykonywali prace pomocnicze. Wśród pozostałej załogi znajdowali się też pompowi, spawacze, pobieracze próbek, elektrycy i maszyniści, jak również personel wspomagający: oficerowie, radiotelegrafisci, kucharze i opieka medyczna. Jednoosobowa kajuta w skrzydle oficerskim oznaczała wysoką pozycję Devlina w hierarchii pracowników. To zrobiło wrażenie nawet na Liz. Zastukała do drzwi.

– Otwarte!

Powitał ją szum wody.

– Rozgość się. Zaraz przyjdę – zapewnił głos dobiegający z łazienki.

Kabina, może trochę większa niż przeciętna, była urządzona standardowo: szafa wnękowa, koja, biurko i krzesło. Standardowy był też bałagan: kask i okulary ochronne na blacie, buty ze stalowymi okuciami pod krzesłem, poplamiony smarem kombinezon rzucony byle jak na podłogę, torba na brudne ubranie zawieszona na klamce.

Załogi zmieniały się co dwadzieścia osiem dni, a ze względu na szczupłość miejsca nafcjarze starali się przywozić ze sobą jak najmniej bagażu: narzędzia, jakieś zdjęcia, czasem odtwarzacz CD, notes elektroniczny lub laptop. Nowoczesny laptop Devlina wzbudził zazdrość Liz. Jej uwagę przykuła natomiast maskotka stojąca obok – miś z naderwanym, niezdarnie przyszytym uchem i oczkami z dwóch różnych guzików. Postrzępiona wstążeczka na szyi kiedyś była zapewne eleganckim krawatem. Ciekawe.

Z listy pasażerów, których razem z Devlinem transportowała na platformę, wynikało, że w razie wypadku Amerykanin kazał zawiadomić brata w Oklahomie. Nie żonę, nie dzieci.

Nie sprawiał jednak wrażenia faceta, który lubi spędzić miesiąc w towarzystwie dziecinnej zabawki.

– Czy ty jesteś, misiaczkę? – zagadnęła, trącając nosek smutnego pluszaka.

– Synka mojej przyjaciółki – padła posepna odpowiedź.

Liz odwróciła się gwałtownie. Devlin stał na progu łazienki z mokrymi włosami, obnażonym torsom i płaskim, prężnym brzuchem nad paskiem dżinsów-biodrówek. Piwne oczy patrzyły podejrzliwie.

– Co tu robisz?

Nie takiego powitania się spodziewała, zwłaszcza po namiętym pocałunku w Piedras Rojas.

– Chcę porozmawiać.

Poruszając się ze zwinnością pantery (tak, jak pamiętnej nocy na plaży), w dwóch susach znalazł się przy biurku, wyjął misia z rąk kobiety i postawił na miejsce, przy laptopie.

– O czym? – spytał napastliwie. Posłała mu cukierkowy uśmiech.

– Co powiesz na to, że dwóch zbirów, grożąc bronią, kazało mi jechać do rezydencji pewnego niesympatycznego pana? Okazało się, że trup na plaży był siostrzeńcem El Tiburóna.

Zmarszczył brwi. Widocznie słyszał o Rekinie.

– Nic ci się nie stało?

– Przecież jestem tu cała i zdrowa. – Bliskość jego gorącego ciała stawała się niebezpieczna. Kiedy uniósł jej twarz i badawczo przyglądał się, jakby szukając sińców, przejęła inicjatywę. – Nie słuchasz mnie, kowboju.

Zgięła nogę w kolanie i błyskawicznie zadała miażdżący cios. Devlin otworzył szeroko oczy, zacisnął szczęki, lecz nie odparł ataku.

– Cholera, kobieto! Przywaliłaś jak czołg!

– Ostrzegałam – skwitowała chłodno.

– Owszem – zerknął na nią z szacunkiem i rezerwą. – Czego chciał Rekin?

– Dwóch rzeczy. Po pierwsze, znaleźć przedmiot, który prawdopodobnie siostrzeniec miał przy sobie w chwili śmierci, a którego nie było wśród rzeczy zwróconych rodzinie przez policję.

Devlin zapomniał o pulsującym bólu między udami.

W nieudanej randce nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji. Centrum dowodzenia OMEGI przekazało mu dossier Martina Alvareza, pięć stron opisu różnych czynów karalnych, od dilerki i sutenerstwa po wystrzelanie miotu prosiaczków, bo kwiczenie dogorywających zwierząt sprawiało mu radość. Devlin żałował, że osobiście nie posłał zwyrodnialcowi kulki między oczy.

Odtworzył w pamięci spis przedmiotów znalezionych podczas pospiesznych oględzin zwłok. Poza zwitkiem banknotów nie spostrzegł niczego cennego. Co chciał odzyskać Rekin? Pieniądze?

Raczej nie. Devlin wiedział, że El Tiburón kontroluje świat przestępczy na całym wybrzeżu. Parę tysięcy pesos nie starczyłoby mu na kieszonkowe.

– Niczego sobie nie przywłaszczyłem – oświadczył, widząc powątpiewający wyraz twarzy Liz.

– A jednak ktoś to zrobił.

– Może zabójca? Może ktoś z policji? Albo z prosektorium? Albo ty?

Zatrzęsła się z oburzenia.

– Zaręczam ci, że gdybym nawet wzięła sobie coś na pamiątkę, oddałabym to podczas wizyty w domu Alvareza.

Sumienie mężczyzny dało znać o sobie. Szczerze żałował, że ulotnił się z miejsca zbrodni i zostawił Liz sam na sam z problemem. Najwidoczniej problem okazał się poważniejszy niż przypuszczał.

– A drugie żądanie Rekina?

– Nazwisko Amerykanina, z którym byłam w nocy.

Do diabła! Co za feralna operacja! Od początku kłody pod nogi. Devlin widział przyszłość w czarnych barwach. Przecież Rekin nie połknąłby gładko historyjki o kupowaniu skradzionego sprzętu.

– Podałś moje nazwisko? – Nie.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. El Sharko zaproponował mi okrągłą sumkę za informację prowadzącą do odzyskania zguby, cokolwiek to jest.

Twarz Liz stężała, a jej lodowatego spojrzenia nie powstydzilaby się Królowa Śniegu. Devlin zastanawiał się, jak kobieta może być jednocześnie tak surowa i tak ponętna.

– Mówimy o wielkich pieniądzach – podjęła temat. – Mogłabym podać jakieś nazwisko, chyba że powiesz mi prawdę, co robiłeś na plaży.

A więc ona też nie kupiła wersji o nielegalnej transakcji. .. Nie zamierzał powtarzać błędu niedoceny tej nietuzinkowej kobiety. Instynkt podpowiadał mu, żeby ujawnić tyle prawdy, ile można.

– Przyszedłem na spotkanie z informatorem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Informatorem? – Liz przygryzła wargę i trwała z tą miną przez kilka sekund. Po pospiesznej analizie sytuacji doszła do wniosku, że Devlin może być albo postacią pozytywną, albo negatywną. Odkrywczy wniosek.

– Czy tym informatorem był Martin Alvarez?

– Nie. O ile wiem, Alvarez zjawił się tam bez zaproszenia. Według mojej hipotezy, wystraszył faceta, z którym się umówiłem, a on posłał mu kulkę między oczy i zniknął.

– To tylko hipoteza, tak?

Liz przeraziła się nie na żarty. Wyczulony instynkt obronny nakazywał odwrócić się na pięcie i wyjść natychmiast, zanim uwikła się po uszy w tę awanturę. Problem polegał na tym, że rzadko słuchała podszeptów instynktu. Gdyby było inaczej, nie nawiedzałyby ją dręczące wspomnienia o klęsce uczucia do Donny'ego, długach i czarnych oczach El Sharko, przewiercających ją na wskroś.

– Lepiej zacznij od początku, Devlin. Chcę się, dowiedzieć, kim jesteś i i po co zacumowałaś na tej platformie.

– To zajmie trochę czasu. O której musisz lecieć z powrotem?

– Widzę, że od godziny nie wystawiałeś głowy z kajuty. Nadciągnął paskudny front burzowy. Utknęłam tu z moją maszyną na noc.

Rzuciła tę informację bez zastanowienia, dla Devlina widać okazała się ona na tyle ważna, że nie odpowiedział od razu.

– Naprawdę? – zagadnął tonem, który zirytował kobietę.

Zirytował? Mało powiedziane! Jedno słowo sprawiło, że ciało Liz pokryło się gęsią skórką.

– Owszem. – Poszła za ciosem. – Jesteś gotów na wyjaśnienia, kowboju?

Spojrzał na nią badawczo, po czym przeniósł wzrok na wystrzępionego misia.

– Jak już mówiłem, zabawka należy do synka mojej przyjaciółki. Ona była narzeczoną mojego przyjaciela, Harry'ego Johnsona.

– Zerwała zaręczyny?

– Harry zakończył pracę na platformie AmMex kilka miesięcy temu. Nigdy nie dotarł do domu.

Liz przeczesała archiwum wspomnień. Co tydzień transportowała pracowników tam i z powrotem. Kilku osobników, szczególnie wesołych lub nad wyraz odrażających, wpisało jej się w pamięć. Johnsona wśród nich nie było.

– Pracował na tej platformie?

– Nie, bardziej na południe, na AM251.

Znała tę platformę, mniejszą niż 237. Obsługiwały ją konkurencyjne linie lotnicze.

– Co się stało z twoim przyjacielem?

– Nikt nie wie. Zniknął.

Słowo „zniknął” kojarzyło się Liz z całkiem świeżym przeżyciem męsko-damskim.

– Stwierdziłeś, że był zaręczony. Mężczyźni lubią wykazywać się niekonsekwencją w kwestii małżeństwa. Chyba rozumiesz, że znam to z doświadczenia.

Twarz Devlina na moment złagodniała.

– Jasne, pamiętam, jaki miałaś nastrój na plaży. Twój narzeczony to po prostu palant.

– Eksnarzeczony. Nie wciągaj mnie w osobiste rozrachunki. A jeśli chodzi o twojego przyjaciela, czegoś tu nie rozumiem. Skoro szukasz informacji, czemu nie pracujesz na platformie 251?

– Ponieważ parę tygodni temu agenci FBI z San Diego złapali faceta, który posługiwał się dokumentami Harry’ego. Ten drań przewoził przez granicę dzieci dziewięcio, dziesięcioletnie i sprzedawał je do burdeli.

Liz zerknęła na misia. Jakiś odrażający typ ukradł tożsamość szlachetnemu człowiekowi, który chciał ożenić się z matką chłopczyka i zastąpić mu ojca. Nieszczęsna narzeczona pewnie odchodzi teraz od zmysłów.

– Wiemy jeszcze o co najmniej dwóch pracownikach AmMex, którzy zaginęli w podobnych okolicznościach – oznajmił Devlin przez ściśnięte gardło. – Obaj byli kawalerami i żaden krewny nie zgłosił ich zaginięcia. Harry zachowywał dyskrecję w sprawach osobistych. Tylko kilku przyjaciół wiedziało, że spotyka się z Eve, a prawie nikt nie słyszał o zaręczynach. Podejrzewamy, że właśnie dlatego został wybrany na ofiarę. Podejrzewamy też, że ten, kto go wystawił, pracuje na tej platformie.

– Dlaczego?

Przeczesał dłonią włosy i zmarszczył czoło, widząc mokre palce. Chyba zapomniał, że niedawno wyszedł spod prysznica. Ale Liz, mająca na wysokości oczu muskularny tors, nie zapomniała o tym szczególe.

– Informator, z którym umówiłem się na plaży, przypuszczalnie znał kogoś, kto załatwia amerykańskie paszporty za odpowiednią opłatą. To ktoś mieszkający w tej okolicy. Według naszych informacji ten ktoś, mężczyzna albo kobieta, ma bezpośredni dostęp do personelu AmMex.

Nie podkreślił w żaden sposób słowa „kobieta”, lecz Liz poczuła się jak użądlnona przez osę.

– Hola, hola! Sądzisz, że poszłam w nocy na plażę sprzedawać kradzione paszporty?

– Braliśmy pod uwagę i taki wariant – przyznał bez śladu przeprosin w głosie. – Przeprowadzone dochodzenie wykluczyło jednak tę możliwość. – Uniósł brew.

– Poza tym słyszałem, co przysięgłaś nad morzem. – I wciąż mi o tym będziesz przypominał? Obnażył zęby w triumfalnym uśmiechu.

– A jak myślisz?

– Myślę, że następnym razem wybiorę lepsze miejsce do składania prywatnych oświadczeń – mruknęła i natychmiast podjęła główny wątek rozmowy. – Powtarzasz wciąż „my”, „nasz”. Pracujesz nad tą zagadką z kimś z AmMex albo z kimś innym?

– Powiedzmy, że kilka osób z kierownictwa AmMex wie, po co zaciągnąłem się na tę zmianę.

Ależ sprytnie kluczył! Nie wiedziała, czy mu wierzyć. Zanim zadała kolejne pytanie,

rozległ się łomot do drzwi. Na progu stał robotnik w kasku i przemoczonym kombinezonie. Na widok Liz szeroko otworzył oczy, lecz problem, z którym przyszedł, okazał się ważniejszy niż chęć zaspokojenia ciekawości.

– Castlemaine potrzebuje cię na pokładzie wiertniczym. Sztorm zagraża linii numer dwa.

– Do diabła! – Devlin wyciągnął z szafy czysty kombinezon. – To trochę potrwa – wyjaśnił Liz. – Chcesz tu zaczekać?

– Przegryzę coś, rozejrzę się, pogadam z ludźmi. A jeśli zrobi się późno, znajdziesz mnie w jednej z kajut gościnnych.

Ruszyła do kuchni po spóźniony obiad. Idąc do jadalni, musiała uważać, aby nie rozlać kawy na ryż z kurczakiem curry. Tuż przed wejściem natknęła się na Conrada Wallace'a.

– Co tu robisz? – spytał zaskoczony przedstawiciel firmy.

– Przywiozłam lekarstwa zamówione przez doktor Metwani.

Wallace zacisnął usta. Niewątpliwie szybko liczył koszty paliwa na pozarozkładowy lot. Ciężka sprawa. Liz nie miała ochoty wysłuchiwać jego płomiennych kazań.

– Odlatuję rano – zapowiedziała, mijając rosnącego mężczyznę w ciasnym korytarzu. – Daj mi znać, jeśli będzie poczta albo dokumenty do przekazania na lądzie.

Front atmosferyczny zdawał się umiejscowić dokładnie nad platformą. Krople deszczu stukały o pokład, a fale rozbijały swe grzywy o cztery olbrzymie podpory. Skrzypiące odgłosy, wydawane nieustająco przez metalową konstrukcję, stały się bardziej urozmaicone w zakresie wysokości i siły dźwięku, dzięki czemu brzmiały jak chór potępieńców. Na nafciarzach ta oprawa muzyczna nie robiła wrażenia. Ci, co odpoczywali po pracy, oglądali film erotyczny w sali widowiskowej. Zaprosili Liz, żeby do nich dołączyła, ale igraszki pokazane na ekranie przekraczały jej kryteria dobrego smaku, tak więc zrezygnowała z projekcji i postanowiła poczekać w kabinie na Devlina.

Wzięła szybki prysznic, włożyła ulubioną koszulkę, cisnęła dżinsy na krzesło i wyciągnęła się na koi. Tak jak większość pilotów, opanowała umiejętność zasypiania w najdziwniejszych miejscach i w nieregularnych porach. Zamierzała uciąć sobie tylko krótką drzemkę dla regeneracji zmęczonego organizmu. Rytmiczne ruchy platformy ukołysały ją do snu Mocnego, błogiego snu, przerwane brutalnie przez pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Devlin.

Na wpół śpiąca, po omacku nacisnęła klamkę. Resztką świadomości zarejestrowała, że mężczyzna przebrał się z kombinezonu w koszulę i wypłowiwał dżinsy.

– Zabezpieczyliście linię numer dwa?

Milczał przez chwilę. Liz nie od razu połączyła ten fakt ze swoim wyglądem. Przecież miała na sobie tylko koszulkę.

– Nic jej nie grozi. W przeciwieństwie do mnie – stwierdził, przeciągając samogłoski.

Zirytowana Liz w okamgnieniu odzyskała przytomność. Ciekawski wzrok Devlina zdawał się wypalać na jej obnażonym ciele gorący ślad.

– Na litość boską, weź się w garść, kowboju! Jednak od szyi do pól uda nie jestem goła!

– To nie problem. – Zamknął drzwi na zasuwkę. – Zaraz możemy temu zaradzić.

Liz wstrzymała oddech i cofnęła się o kilka kroków aż do koi.

– Uważaj – ostrzegła. – Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy nie poprosiłeś o pozwolenie?

– Pamiętam.

Błyskawicznie przemierzył kajutę i oparł dłonie o górę na koję, zamykając kobietę w pułapce ramion. Ich ciała nie stykały się w żadnym punkcie, a mimo to przez bawełniany T-shirt czuła żar bijący od Devlina.

– I co, kapitanie? Dostanę pozwolenie wejścia na pokład?

Odetchnęła głęboko. Miała setki powodów, by odmówić. Nie знаła tego człowieka. Nie wiedziała nawet, czy wierzy w to, co opowiedział. I z pewnością nie chciała przekraczać kolejnej granicy ich znajomości.

Musiała przyznać, że działał na nią jak waleriana na kota. Swoją bliskością wyzwalał w Liz wewnętrzną energię, przyspieszał bicie serca. I jeszcze to oszałamiające kołysanie platformy...

Zamknęła oczy i zrobiła krok naprzód. Objął ją w pasie i uśmiechnął się powoli.

– Przyjmuję, że się zgadzasz – odezwał się rozbawionym, lekko dyszącym głosem.

Powinna wtedy przerwać bieg wydarzeń. Wiedziała, że Devlin nie odważy się posunąć dalej bez jej przyzwolenia. Zawiodła jednak samą siebie, bo nie zdołała wydusić ani słowa.

Pragnęła dalszego ciągu od pierwszej chwili, tam, na plaży, gdy wyłonił się z ciemności i poskromił jej gniew śmiałą odpowiedzią na rzuconą w morze ofertę.

Objął ją mocno, pochylił głowę i przycisnął wargi do jej ust. Postanowiła nie myśleć na razie o niczym. Świat skurczył się nagle do kajuty, do ramion Devlina. Na zastanowienie miała czas później, na lądzie.

– Odkąd się spotkaliśmy, dziesiątki razy rozbierałem cię w wyobraźni – wyznał ochryple, odstawiając i pieszcząc jej piersi.

Dreszcz rozkoszy targnął całym ciałem Liz. Łapczywie rozpinęła guziki koszuli Devlina.

– Wiesz, że to szaleństwo – powiedziała półgłosem, sunąc dłońmi po jego barkach i torsie, w dół, aż za pasek dzinsów.

Jęknęła cicho, gdy zacisnęła palce wokół stalowego kształtu i przesuwiała je po gładkiej skórze, od nasady po koniuszek. Doszła do wniosku, że powszechna opinia o hojnym wyposażeniu nafciarzy przez naturę nie jest wcale przesadzona.

Pospiesznie pozbyli się ubrań i legli na dolnej koi, wygodnej, szerszej i dłuższej niż standardowe marynarskie posłania. Devlin obsypał kobietę pocałunkami, jednocześnie szukając najwrażliwszego na pieszczoty miejsca jej ciała. Nie czekał długo na efekt. Liz oplótła go udami, gotowa do ostatecznego etapu miłosnego aktu.

– Momencik! – sapnął, gorączkowo przeszukując kieszonkę dzinsów. – Jest!

Nie miała wyboru. Zablockowana ramieniem Devlina, z jego kolanem między udami, cała rozdygotana, musiała poczekać, aż jej partner się zabezpieczy.

– Przygotowałeś się wzorowo – stwierdziła z lekko ironicznym uśmiechem.

– Tak jest, pani kapitan – odparł bez cienia skruchy w głosie. – Przecież marzyłem o tym od pierwszego spotkania.

Nie mogła w to wątpić. Ich pulsujące pożądaniem ciała połączyły się w jeden organizm. Devlin rozkołysał go w wolnym rytmie. Zanim bez końca oddał się rozkoszy, pomyślał, że Liz ma rację. To, co robili, było szalone i niedorzeczne. Pakował się w nie lada tarapaty. Teraz jednak pragnął zapomnieć o tym, co go czeka, i uczynić wszystko, aby Liz nie żałowała udzielonej mu zgody. Zatracił się w gorącej, wilgotnej kobiecości.

Najsilniejszy atak sztormu nastąpił tuż po północy, dokładnie wtedy, gdy Devlin po raz drugi doprowadził Liz do miłosego spełnienia. Oboje leżeli na boku, przytuleni do siebie mocno jak sardynki w puszcze, uda do ud, tors do pleców, brzuch do pośladków. Nigdy nie przypuszczałyby, że przeżyje coś tak wspaniałego, intensywnego. Wyczerpana, szczęśliwa, zapadła w głęboki sen. Rano, zaraz po przebudzeniu, zerknęła na zegarek.

– O Boże! Prawie dziewiąta!

– I co z tego? – usłyszała wesoły głos tuż przy uchu.

– Ty masz dwanaście godzin wolnego po każdej zmianie, a ja nie. Muszę sprawdzić pogodę, zorientować się, czy jest coś lub ktoś do przewiezienia na ląd i poderwać tyłek do lotu!

Wypełzła spod ciężkiego ciała mężczyzny i wśliznęła się w porzuconą na podłodze koszulkę. Poranki po nocnych przygodach zawsze są okropne, a ten wyróżniał się na minus. Devlin nie był tylko kochankiem. Łączył ich udział w niebezpiecznej grze.

– Słuchaj, co do biznesu z El Tiburón... – odezwała się, wstydliwie naciągając rąbek T-shirta na nagie uda.

– Zajmę się Rekinem. Ty trzymaj się od niego z daleka.

Zmarszczyła czoło. Devlin leżał w gmatwaninie pościeli jak go Bóg stworzył. Z głową podpartą na dłoni i potarganymi włosami sprawiał wrażenie wyluzowanego i zadowolonego z życia. Ale ton głosu świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

– Przypominam, że to nie ja prosiłam się o spotkanie z gangsterem – odparła z nieskrywaną ironią. – Mimo to jestem ciekawa rozwoju wydarzeń. Jak właściwie zamierzasz się nim zająć? Utknąłeś na platformie na co najmniej trzy tygodnie.

Wygrzebał się z koi i zaczął wkładać dzinsy. Oczy Liz mogły w tym czasie nasycić się widokiem szerokich, muskularnych barków, zgrabnej linii pleców i fantastycznych pośladków.

Wygląd Devlina od przodu przedstawiał się równie interesująco. Zarost na policzkach i brodzie miał ten sam złocisty odcień co gąszcz włosów na torsie. Aż kusiło, by dotknąć płaskiego, prężnego brzucha i przesunąć dłoń niżej... Na wszelki wypadek Liz splotła ręce na piersi.

– Nieważne, jak to zrobię – oświadczył. – Po prostu mi zaufaj.

– I to mówi człowiek, który zostawił mnie na plaży w nocy, z trupem i policją.

– Przepraszam za tamto. – Z ręką na sercu, złożył uroczyste przyrzeczenie. – To się już nigdy nie powtórzy.

– Co mianowicie? Trup, twoja ucieczka czy przejścia z policją?

Nie przestał się uśmiechać, lecz było jasne, że słowa Liz dopiekły mu do żywego. Jak większość nafciarzy, wiódł żywot wędrowny. Szedł za pracą, nie praca za nim. Utracił żonę,

ponieważ nie wytrzymała długich rozstań. Oduczył się obiecywać coś, czego nie mógłby dotrzymać. Pragnął jednak dać Liz poczucie bezpieczeństwa, zanim sam znów zejdzie ze sceny.

Podszedł do kobiety i czule objął jej twarz.

– W ciągu ośmiu, najwyżej dziesięciu godzin ktoś się z tobą skontaktuje. Powie, że przysłał go Wiertacz.

– A kto to jest?

– Wiertacz to ja, kochanie. Pocałował ją żartobliwie w czubek nosa.

Miał na ustach smak jej skóry, kiedy wszedł do swojej kajuty, wyjął telefon komórkowy i nawiązał połączenie z dyspozytorem OMEGI.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Dajcie kogoś do jej ochrony, i to szybko. •

W słuchawkach dyżurnego dyspozytora OMEGI rozległ się ponury, ponaglący głos Wiertacza. Andrew MacDonald, kryptonim Rycerz, potwierdził nawiązanie połączenia.

– Słyszę cię, Wiertacz.

– El Tiburón to najtwardszy orzech do zgryzienia. Nie mamy dowodów, że handluje skradzionymi paszportami, ale z pewnością macza w tym palce. Facet trzyma łapę dosłownie na wszystkim, co się dzieje w tej okolicy.

MacDonald zerknął na tablicę elektroniczną, zajmującą całą ścianę centrum dowodzenia. Czterej agenci, z Wiertaczem włącznie, mieli już przydzielone zadania. Kolejny przechodził intensywne szkolenie zasad przetrwania w warunkach arktycznych. Jeszcze następny siedział uziemiony z nogą w gipsie – pamiątką ostrej bijatyki.

Rycerz uzgodnił wcześniej z CIA i służbami celnymi USA, że ich pracownicy obejmą dodatkowym nadzorem załogi schodzące z platform firmy AmMex, rozsianych wzdłuż półwyspu Baja. Teraz musiał ściągnąć kogoś do Piedras Rojas, aby zadbał o ochronę dla Elizabeth Moore.

– W porządku. Załatwię sprawę i odezwę się do ciebie. Dwadzieścia minut później Andrew zjechał windą na pierwsze piętro. Zanim opuścił kabinę, spojrzął na monitor domofonu. Co prawda asystent szefa wstępnie oczyścił przedpole, ale zawsze mógł wejść nagle ktoś z ulicy. Każdy agent musiał zachowywać najwyższą ostrożność przy przechodzeniu z tajnej strefy OMEGI do gabinetu specjalnego wysłannika prezesa.

Powitała go uśmiechnięta, niemłoda już pani siedząca za ozdobnym biurkiem w stylu Ludwika XV. Ani jej matronowaty wygląd, ani dobroduszne niebieskie oczy nie zdradzały, że Elizabeth Wells doskonale posługuje się szwajcarskim pistoletem SIGSauer, przechowywanym w sekretnej szufladzie.

– Witam, Rycerzu. Błyskawica już czeka na ciebie.

Elizabeth przyciskiem odblokowała wejście do tajnej części pomieszczenia i Andrew zobaczył Nicka Jensena, ubranego w nienagannie skrojony szary garnitur z jedwabnym krawatem i drogie włoskie buty. Cóż – wymogi kamuflażu, lecz ta wyszukana elegancja kryła męczyznę świetnie posługującego się nożem sprężynowym i pistoletem beretta, umiającego także skutecznie zastosować torturę hiszpańskiego kołnierza. Istny as wśród agentów OMEGI.

– Na prośbę Wiertacza staram się zorganizować ochronę dla Elizabeth Moore – wyjaśnił MacDonald szefowi.

– Masz kogoś na uwadze?

Zaczęli rozważać różne możliwości, kiedy zadzwonił interkom, a chwilę potem do pokoju wkroczyła Maggie Sinclair Ridgeway, kryptonim Kameleon.

– Cześć, chłopaki.

Jak zwykle, wraz z Maggie pojawiły się wielka porcja energii i promienny uśmiech. Nick

i Andrew poznali ją w różnych okolicznościach. Nick zetknął się z Maggie przed laty, podczas operacji na Riwierze Francuskiej. MacDonaldowi natomiast zaimponował fakt, że owinęła sobie wokół palca Adama Ridgeway, nieprzystępnego, bezwzględniego poprzedniego dyrektora OMEGI.

Maggie była teraz troskliwą matką trojga dzieci, dożywočním profesorem lingwistyki na Uniwersytecie Georgetown i oddaną żoną Adama, czyli prezesa Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Z wiekiem przybyło zmarszczek na jej twarzy, lecz w oczach błyszczały te same iskierki co dawniej.

– Przepraszam, że przeszkadzam – cmoknęła kolegów w policzki na dzień dobry. – Chciałam tylko podrzucić najświeższe instrukcje dla Nicka.

Kiedy Błyskawica zgromił ją wzrokiem, pogroziła mu palcem.

– O nie! Nie uda ci się wykręcić! W ten weekend na pewno nie zwolnię ani ciebie, ani Mackenzie z dyżuru przy pilnowaniu dzieci.

– Akurat w ten weekend?

– Owszem. Mamy z Adamem zarezerwowany pokój w pensjonacie w White Mountains – wyjaśniła. – Planujemy dwa i pół dnia absolutnego relaksu, niezakłóconego przez żadne problemy, żadne telefony. Chyba że Nick albo Mackenzie zakablują, gdzie jesteśmy – spojrzała pytająco na jednego z potencjalnych kapusiów.

Nick omal nie jęknął. Weekend w domu Ridgewayów w charakterze niani i gosposi oznaczał rozstrój nerwowy i poważne obrażenia fizyczne. Dzieciaki były w porządku, może trochę rozbrykane. Nawet pies, wielki owczarek węgierski, pamiątka po czasach, gdy Maggie służyła w ochronie wiceprezydenta, nie sprawiał kłopotu. Natomiast nieustannej czujności wymagała pomarańczowo-fioletowa iguana o metrowym jęzorze i temperamentie pitbulla. Mackenzie i Nick zazwyczaj opuszczali dom Ridgewayów opluci od stóp do głów przez złośliwego legwana.

– Nie sprawicie mi zawodu, co? – w głosie Maggie pojawił się ton rozpacz. – Obiecaliście! I przecież jesteście rodzicami chrzestnymi Czołgu!

Nick nie mógł się nie uśmiechnąć. Wszyscy pracownicy OMEGI w kontaktach służbowych używali kryptonimów. W przypadku dwuletniego synka Maggie i Adama nikt nie miał wątpliwości. Jednomyślnie nazwano go Czołg. Dzieciak szedł (a przedtem raczkował) przez życie jak taran, rozbijając wszelkie przeszkody.

– Nie myślę o dezercji – zapewnił Nick, niezupełnie zgodnie z prawdą – ale Wiertacz zażądał dodatkowej ochrony. Andrew uważa, że powinien się tym zająć osobiście, co oznacza...

– ... że trzeba ściągnąć kogoś dodatkowego na dyżur dyspozytora – zgaszona Maggie postawiła kropkę nad i.

Dzięki wieloletniemu doświadczeniu doskonale orientowała się, jak poważnymi zadaniami obciążeni są agenci OMEGI.

– Wiertacz prowadzi operację na krańcu półwyspu Baja, tak?

– Tak, ale nawet nie myśl o wkroczeniu do akcji. Adam obdarłby mnie ze skóry, gdybym pozwolił ci dyżurować w centrum dowodzenia, zamiast relaksować się z nim z dala od

problemów tego świata.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, aby połączyć przyjemność rekreacji z obowiązkami zawodowymi. – Z błyszczącymi oczami, Maggie wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. .
– Na północ od Cabo San Lucas jest pewien luksusowy ośrodek wypoczynkowy. „Dwa delfiny”. Nieraz rozmawialiśmy z Adamem, żeby tam się wybrać.

– Maggie...

– Jesteśmy już spakowani. Adam właśnie jedzie z biura do domu. Za parę godzin wsiądziemy do samolotu. Uwzględniając różnicę czasu, w San Cabo wylądujemy w sam raz na obiad.

– Przemysł to jeszcze, Maggie. Ta sprawa może się przeciągnąć poza weekend.

– I taką mam nadzieję!

Szczerzy zachwyt w głosie kobiety odzwierciedlał jej prawdziwą naturę, dobrą i życzliwą dla ludzi. Bez żalu porzuciła karierę w agencji, odeszła z dyrektorskiego stołka, została matką, profesorką. Ale o jej osiągnięciach jako agentki OMEGI wciąż krążyły legendy.

– Bez problemu poświęcę pięć, sześć dni – wyznała. – Adam będzie musiał poprzestawiać swój grafik, ale to da się zrobić. Poproszę Nany, żeby została w domu na noc, oprócz pani Sorenson, tak abyście mieli z Mackenzie dodatkowe wsparcie.

Nick bez większego przekonania dokonał ostatniej heroicznej próby wpływu na decyzję Maggie.

– Twój mąż pewnie też ma coś do powiedzenia. Posłała mu uśmiech pełen politowania.

– Powiem Adamowi, żeby wpadł tu po mnie. Wprowadzicie nas w sytuację.

Natychmiast wystukała numer w komórce, a pół godziny później zasiedli we czwórkę za stołem konferencyjnym. Na mahoniowym blacie Nick położył tekturową teczkę.

– To dossier Elizabeth Moore, pilotki, która pracuje na kontrakcie dla AmericanMexican Petroleum Company. Wiertacz chce, żebyście objęli ją ścisłą ochroną.

Liz obficie spryskała wodą przednią szybę Rangera. Popołudniowe słońce świeciło mocno, a temperatura nadal nie spadała poniżej trzydziestu stopni. Godzinę wcześniej wróciła z platformy. Zdążyła już złożyć raport z przebiegu lotu, a ponieważ nic więcej nie było do roboty, pomagała Jorgemu w czyszczeniu maszyny. Proste zajęcie dało odpoczynek skołatanym myślom, które uparcie krążyły wokół jednego obiektu: Joego Devlina.

Każdy mięsień, każdy centymetr skóry pamiętał dotyk Devlina. Właściwie sama nie wierzyła, że spełniła obietnicę złożoną pamiętnej nocy na plaży. Dokładnie. Rzuciła się w objęcia pierwszego napotkanego mężczyzny. Dwa razy wybuchła jak wulkan, a gorąca lava...

– Pani Moore? – rozległ się miły męski głos.

Nie przerywając mycia wirnika, zerknęła przez ramię.

– Słucham.

Z cienia hangaru wyłoniła się jakaś postać. Serce Liz omal nie wyskoczyło z piersi, póki nie sprawdziła, że nie jest to ani Niski, ani Półbuciarz. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie miała do czynienia z tak eleganckim mężczyzną. Pierwsze skojarzenie: Pierce Brosnan jako James Bond. Luźne spodnie koloru khaki, koszulka polo z nadrukiem w papużki, mokasyny. Kruczoczarne włosy na skroniach przyprószone były siwizną, a błękit oczu miał odcień wód

Pacyfiku.

– Człowiek, z którym rozmawiałem w biurze linii lotniczych, bodajże Jorge Garcia, powiedział, że tu panią znajdę. Nazywam się Adam Ridgeway.

Liz wyłączyła spryskiwacz, wytarła mokrą dłoń i podała przybyszowi.

– Czym mogę służyć, panie Ridgeway?, – Żona i ja zatrzymaliśmy się w ośrodku „Dwa delfiny”. Recepcjonista stwierdził, że państwa firma wykonuje loty czarterowe. Chcielibyśmy kupić letnią posiadłość w okolicy. Czy obleciałaby pani z nami wybrzeże?

– Aero Baja obsługuje czartery, ale tylko w ramach wolnych godzin pomiędzy planowymi lotami dla AmMex. To nasz najważniejszy usługodawca.

– Nie ma problemu. Dostosujemy się. Przecież jesteśmy na wakacjach. – Żywe niebieskie oczy z zaciekawieniem spjrzały na helikopter. – Lata pani starszym modelem 214.

– Awionika jest nowa.

– Dobrze wiedzieć. – Uśmiechnął się figlarnie. – A kiedy startuje pani z pełnym bakiem, pewnie ogon zostaje z tyłu?

Ho, ho! Facet znał się na rzeczy.

– Jak kucająca kaczka – przyznała. – Spędził pan trochę czasu za sterami, prawda?

– Rzeczywiście. Przepraszam, żona czeka. Przejdziemy do biura?

Spodziewała się, że tak atrakcyjnemu mężczyźnie będzie towarzyszyć wystrzałowa blondyna, tymczasem na sofie przycupnęła energiczna, roześmiana brunetka w wygodnej letniej spódnicychłopce i prążkowanej bluzeczce. Okulary przeciwsłoneczne zsunęła na czubek głowy. Od razu wzbudziła sympatię Liz.

– Widzę, kochanie, że czujesz się tu jak u siebie w domu. Czyli normalnie.

Kobieta, do której mężczyzna klasy Ridgewaya zwracał się tak czułym, serdecznym tonem, z pewnością była osobą nietuzinkową. Liz podała jej rękę.

– Witam panią. Jestem Liz Moore.

– Mówmy sobie po imieniu. Jestem Maggie – wesoło poprosiła żona Ridgewaya. – Jorge właśnie opowiadał anegdotę o Amerykanach, którzy wyczarterowali samolot, żeby całą rodziną popatrzeć na wieloryby.

Liz jęknęła na wspomnienie pasażerów, których wymioty musiała sprzątać godzinami.

– My na szczęście nie zabraliśmy dzieci – zapewniła Maggie. – Zresztą naszym urwisom niestraszne żadne podniebne atrakcje.

– Racja – przytaknął rozbawiony mąż. – Gillian pewnie uwiesiłaby się na płozach, Samantha zażądałaby lotu do góry nogami, a Czołg rwałby się do sterów.

– Czołg?

– Nasz synek.

– Dwulatek – oświadczyła krótko Maggie, jakby ta informacja tłumaczyła wszystko. – Po raz pierwszy zostawiliśmy dzieciaki na dłużej niż weekend pod opieką przyjaciół. Mam nadzieję, że Nick i Mackenzie wytrwają.

– Czy znajdziesz czas jutro po południu? – Ridgeway zwrócił się do Liz. – Obejrzałem mapę i sądzę, że najpierw skierujemy się na północ.

Liz rzuciła wzrokiem na grafik lotów. Najbliższy jej rejs na platformę wypadał dopiero

we wtorek. Chyba że znalazłaby pretekst do wcześniejszych odwiedzin. Pomyślała o tym nie bez przyczyny. Pamięć uporczywie podsuwała wspomnienie z poranka: Devlin leżący na koi w jej kajucie. Nieogolony, wyluzowany i tak zabójczo seksowny, że Liz chciała po prostu położyć się na nim.

Idiotka! Po jednej nocy z facetem snuła marzenia o następnej.

– Pasuje mi jutro po południu, chyba że coś się wydarzy na platformie i będę musiała tam lecieć.

– Rozumiem, że bierzesz nas pod uwagę w drugiej kolejności. – Ridgeway wręczył jej wizytówkę. – Gdyby trzeba było odwołać nasz lot, zadzwoń na komórkę.

Napis na grubym kartoniku robił wrażenie: Adam Ridgeway, Członek Zarządu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, Waszyngton, adres. Z zamykanej na suwak kieszeni na udzie wyjęła portfel na dokumenty i wsunęła wizytówkę Ridgeway'a między legitymację służbową Baja Aero, karty kredytowe i zwitek banknotów.

– Do zobaczenia jutro – odezwała się na pożegnanie żona Ridgeway'a i ruszyła do wyjścia. W połowie drogi odwróciła się przez ramię. – Aha, przysłała nas Wiertacz.

Na widok zmarszczonego czoła Liz, Maggie powstrzymała uśmiech.

– Nieźle poszło – oceniła, wsiadając do samochodu. – Procesor wszczepiony w twoją wizytówkę pozwoli nam śledzić każdy jej ruch.

– Zdumiewające, jak w ciągu kilku lat technika poszła naprzód.

– Jak zręcznie wcisnąłeś jej swoją wizytówkę. Trening agenta pozostaje na całe życie – westchnęła.

Adam uśmiechnął się szeroko.

– Miło jest sprawdzić się od czasu do czasu.

– Cholernie miło.

Wiadomość, że Kameleon i Grom „oznakowali” Liz dostał Devlin tuż po zakończeniu dwunastogodzinnej zmiany. Zaraz potem zdjął kombinezon i wszedł pod prysznic.

Kamelon i Grom należeli do legendarnych postaci OMEGI. Devlin znał Maggie lepiej niż Adama, ponieważ pracował pod jej dowództwem przez kilka miesięcy, zanim urodziła drugie dziecko. Nie mógł sobie wymarzyć lepszej ochrony dla Liz niż oboje Ridgewayowie. Oczywiście nie licząc jego własnej skromnej osoby. Nie wątpił, że jeszcze spotka się z Liz, i to w bardzo intymnych okolicznościach. Na razie musiał myśleć o niej nie tylko jak o kobiecie, lecz także jak o osobie mimowolnie wplątanej w kłopoty.

Na szczęście wszyscy robotnicy, którzy ostatnio odlecieli z platformy na ląd, dotarli do domu. Następną wymianę załóg wyznaczono za trzy dni. Devlin zamierzał umieścić mikronadajniki w bagażu nafciarzy kończących kontrakt. Poznał już czterech spośród nich. Pozostało nawiązać znajomość z dwoma, wybierającymi się do USA. Pierwszy, Portugalczyk, chciał odwiedzić kuzyna w Massachusetts. Drugi, Kuwejczyk, miał obiecana pracę na platformie w Luizjanie. Obaj słabo mówili o angielsku i Devlin musiał pokonać tę trudność.

Wytarł się, przebrał i wyjął z szuflady słuchawki, na pozór wyglądające jak typowe słuchawki od walkmana czy odtwarzacza mp3. Odkręcił jeden z koreczków, włożył głęboko do kanału słuchowego i przez telefon komórkowy nawiązał łączność z centralą.

– Rycerz! Zaśpiewaj mi po portugalsku.

– Zero problemu, bracie.

Wiedząc, że Devlin będzie obracał się na platformie w wielojęzycznym środowisku, spec OMEGI od elektroniki, Mackenzie Blair, przygotowała miniaturowego tłumacza. Umieszczone w uchu urządzenie wyłapywało dźwięki mowy, przetwarzało je i natychmiast przekładało na angielski. Co prawda nic nie zdoła zastąpić żywego tłumacza, wyczułonego na kontekst rozmowy i niuanse znaczeniowe, ale i tak maleńki przedmiot spisywał się rewelacyjnie.

– *Pode voce ouvirme?* – Rycerz zadał po portugalsku pytanie, które do Devlina dotarło już w wersji angielskiej.

– Tak, słyszę cię – jego odpowiedź została przetłumaczona na portugalski.

Z uchem uzbrojonym elektronicznie, Devlin wyruszył na poszukiwanie Paula Casimiro. Ciemnooki Portugalczyk, operator żurawia, spędzał wolny czas w sali wypoczynkowej. Z przygnębioną miną wysłuchiwał właśnie gderliwego monologu Conrada Wallacea.

– Dwieście euro! *Compreende* dwieście? Aha, *dos cento*.

Devlin uważnie wsłuchał się w informację elektronicznego tłumacza.

– Chyba chodzi o *dois cem* – poprawił przedstawiciela AmMex.

– *Dos* czy *dois*, najważniejsze, że kasjerzy w kasynie w Lizbonie przeliczali dolary na euro z prędkością odrzutowca. I przez to...

– Porwę Paula na parę minut, dobrze? – Devlin nie bawił się w grzeczności. – Chłopak niedługo jedzie do domu, a obiecał mi pokazać nowy program komputerowy sterujący rozładunkiem.

Operatorzy dźwigów na platformach wiertniczych mieli trudną i niebezpieczną pracę. Zamknięci w kabinie trzydzieści metrów nad pokładem, przy ograniczonej widoczności, silnym wietrze i wysokich falach musieli dokonywać cudów precyzji. Upadek żurawia na metalowy pokład mógł wznieść pożar, eksplozję, setki ofiar i niezmierzone straty dla środowiska. Po ubiegłorocznym wypadku na platformie w Brazylii, firma AmMex wprowadziła do obsługi dźwigów nowoczesny system komputerowy. Wiertacz był nim zainteresowany i z zawodowej ciekawości, i z chęci znalezienia pretekstu do kontaktu z Pauliem.

Wychodząc z sali z krępkim Portugalczykiem, Devlin przykazał sobie w pamięci, aby sprawdzić sytuację finansową Conrada Wallace'a i czy często zdarza mu się tracić w kasynach spore sumy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maggie i Adam Ridgewayowie stawili się na lotnisku Aero Baja o pierwszej piętnaście. Liz spędziła z nimi resztę dnia. Po trzygodzinnym locie wzdłuż wybrzeża na północ od Piedras Rojas przyjęła zaproszenie na drinka do ich apartamentu i na kolację do restauracji. Nazajutrz polecili na południe. Nad posiadłością Eduarda Ahareza Liz tylko raz odważyła się obniżyć pułap lotu. Uzbrojeni po zęby strażnicy przy bramie natychmiast wymierzili pistolety w maszynę.

– Interesujące – skomentowała Maggie, wijąc się w pasach bezpieczeństwa, aby jak najlepiej wszystko obejrzeć.

– Bardzo – przytaknął Adam.

Podczas krótkiego postoju w Cabo San Lucas Maggie kupiła upominki dla dzieci, a sama dostała od męża okazałą srebrną bransoletę, ozdobioną jaszczurką z turkusów i malachitów. Po powrocie do Piedras Rojas Liz poprosiła, aby towarzyszyli jej podczas kolacji w „El POCO Lobo”. Poznała gusta Adama na tyle, by wiedzieć, że zasmakuje w pieczonym kurczaku – specjalności Anity. Podczas gdy kobiety delectowały się *sopaipillas* – gorącymi meksykańskimi bułeczkami z miodem i cynamonem, Adam przysiadł się do miejscowych klientów przy barze, aby podyskutować o wyższości piłki nożnej nad soccerem.

– Od dawna jesteście małżeństwem? – zagadnęła Liz, która przez dwa dni wspólnego przebywania wiedziała tylko tyle, że Ridgewayowie mieszkają w Waszyngtonie z trójką dzieci.

– Za miesiąc będzie równe dziesięć lat. Przed ślubem czasem pracowaliśmy razem. To były ciekawe lata. Ale teraz są jeszcze ciekawsze – zakończyła z uśmiechem, zerkając na męża.

Wymienili pełne uczucia spojrzenia, a Liz poczuła ukłucie zazdrości. Kiedyś była pewna, że z Donnym łączy ją miłość, przyjaźń i perspektywa założenia wspólnej firmy. Tymczasem narzeczony zabawiał się z Bambang. Boże!

– A jak twoje sprawy sercowe? – zagadnęła Maggie, podtrzymując główny temat rozmowy. – Złapałaś kogoś w sidła?

– Tak, ale mi uciekł. Tydzień temu. Świeża sprawa. – Liz wypiła łyk piwa i doszła do wniosku, że gniew już z niej wyparował, lecz pozostał niesmak. I pretensja do samej siebie. – Mam nowy obiekt na horyzoncie – oznajmiła z lekkim zakłopotaniem.

Maggie zmarszczyła czoło.

– Nie jest to przypadkiem Joe Devlin?

– Owszem. Pewnie myślisz, że to z mojej strony głupota i nieostrożność natychmiast wskakiwać do nowego łóżka.

– Cóż za tempo! – Oczy Maggie zaokrągliły się ze zdumienia.

– Wcale tego nie planowałam.

– Ale on na sto procent zaplanował! – Maggie ledwie stłumiła chichot. – Znam Wiertacza. Jest przygotowany na każdą sytuację.

Liz przypomniała sobie o zapasie prezerwatyw w spodniach.

– Na tym polega problem. Zdążyłaś go dobrze poznać, Maggie, a ja wiem tylko, że jest silny, dyskretny i konsekwentny.

– Wyczerpująca charakterystyka. Tacy są też mężczyźni, z którymi Wiertacz się przyjaźni, z moim mężem włącznie.

Wieczorna bryza przyjemnie podwiewała końce włosów i chłodziła ramiona Liz.

– W zasadzie nic nie wiem o was i Devlinie, co porabiacie i tak dalej.

– Adam pracuje w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym – Maggie nie wydawała się zaskoczona pytaniem. – Jego wizytówka zawiera dokładne dane. Ja wykładam lingwistykę na Uniwersytecie Georgetown. A Devlin jest obecnie zatrudniony w...

– ... AmericanMexican Petroleum Company. Rozumiem. Wyższy poziom informacji jest dla mnie niedostępny.

Liz wystukała paznokciami nerwowy rytm na blacie stolika. Znalazła się w oku cyklonu: tajemnice, morderstwa, niebezpieczeństwo. A wokół panowała wręcz idylliczna atmosfera: słońce chylące się ku zachodowi roztaczało blask nad cichym meksykańskim miasteczkiem, położonym malowniczo na klifowym brzegu Pacyfiku.

– Devlin powiedział mi to i owo – wyznała, przenosząc wzrok na Maggie. – Nie wygląda to dobrze. Chętnie pomogłabym, gdybyście wyznaczyli mi jakieś zadanie.

– *Hola, Lizetta!*

Uśmiechnięty pod wąsem Jorge szedł ku nim przez tłum gości. Liz rozpoznała towarzyszącego mu mężczyznę. Był to jeden z jego krewnych, kapitan kutra. Rybi zapach, który rozsiewał, nie pozostawiał wątpliwości co do jego profesji.

– Witaj Jorge. Pamiętasz panią Ridgeway?

– Oczywiście. – Jorge skłonił się z gracją matadora. – Señora, to kuzyn mojej żony. Mówiłem mu, że państwo odbywają loty czarterowe nad okolicą. Emilio chciałby zaproponować wyczerowanie jego łodzi. „Santa Guadalupe” to świetna łódź.

– Świetna – powtórzył jak echo Emilio. – Czysta i szybka.

– Nie braliśmy pod uwagę wycieczki na ryby – stwierdziła Maggie z uśmiechem – ale Adam na pewno by się ucieszył. Zaraz go poproszę, żeby z panem porozmawiał.

– Miła kobieta – ocenił Jorge, kiedy Maggie odeszła od stolika.

– I bogata – mruknął Emilio.

Turyści, obok połowu tuńczyka, stanowili najpoważniejsze źródło dochodów miejscowej ludności. Meksykanie w okamgnieniu szacowali zasobność portfeli. W przypadku Maggie wystarczyło spojrzeć na wielkość oczka w jej pierścionku.

Kiedy wróciła z mężem i zapasem zimnego piwa, rozmowa zeszła na gatunki ryb. Tymczasem Liz, zatopiona się we własnych myślach, przeżyła coś w rodzaju olśnienia. Oto nagle odkryła, że Donny nie dorastał jej do pięt! Powinna właściwie być wdzięczna Bambang.

I Devlinowi.

Kiedy następnym razem poleci na platformę, musi pokazać, jak bardzo jest mu wdzięczna. Jeśli akurat trafi na porę, kiedy Devlin zejdzie ze swojej zmiany...

– Au!

Jorge, zamaszycie pokazując rekordowe rozmiary ryby złowionej przez szwagra, potracił butelkę. Piwo obryzgało Maggie od stóp do głów.

– *Excuse, señora! Excuse!*

– Nic się nie stało – odparła rozbawiona kobieta.

– Straszny ze mnie niezdar! – jęknął Jorge.

Kiedy Emilio pochylał się, żeby podnieść z podłogi butelkę, zza rozpiętej pod szyją koszuli wysunął się złoty łańcuszek, a na nim – siedmiocentymetrowej długości zęb rekina, ozdobiony maleńką koroną.

Zamarła. Widziała już taki naszyjnik, u Eduarda Alvareza, na rodzinnej fotografii zrobionej na jachcie.

– Imponujące trofeum – skomentowała. – Sam złowiłeś tego rekina?

Emilio zaklął pod nosem i pośpiesznie schował łańcuszek pod koszulą.

– Tak. – Wstał i przyczesał dłonią włosy. – Muszę iść. Jeśli zechcą państwo wybrać się na ryby, dajcie znać przez Jorgego, dobrze?

Kiedy Ridgewayowie zegnali się z Jorgem i jego kuzynem, Liz siedziała jak przyklejona do krzesła. Nabrała podejrzeń, że właśnie znalazła przedmiot, o którego odzyskanie zabiegał El Tiburón. Nie wiedziała jednak, co robić dalej.

Lojalność wobec Jorgego kazała nie wspominać o znalezisku Adamowi i Maggie. Mechanik Aero Baja był nie tylko współpracownikiem, był po prostu jej najbliższym przyjacielem w Meksyku. Nie potrafiła uwierzyć, że cokolwiek łączyło go ze strzelaniną na plaży, ale to on przyprowadził Emilia do restauracji, zaś Emilio dziwnie zareagował na wzmiankę o zębie.

Po kolacji, o zmierzchu, pojechała do domu i zaparkowała jeepa pod palisandrem. Dopóki nie upewniła się, że za masywnym pniem nie ukrył się żaden napastnik, nie wypuszczała paralizatora z ręki.

Trzy pokoje powitały ją ciepłymi żółtymi ścianami i podłogami z gładkich desek. Ponieważ Liz odkładała każde zaoszczędzone peso do banku, ograniczyła dekorację mieszkania do kilku tanich obrazków miejscowych artystów ludowych i kolorowych, ręcznie tkanych dywaników. Jedyne luksus stanowił satelitarny dostęp do internetu. Usiłowała przekonać Conrada Wallace'a, że firma AmMex powinna pokryć koszty połączenia, za pomocą którego sprawdzała warunki pogodowe w nocy poprzedzającej każdy lot. Wallace, skąpiec z natury, poradził, żeby korzystała z komputera w terminalu linii lotniczych.

Cisnęła torebkę na sofę i natychmiast zasiadła do klawiatury. Wpisała w wyszukiwarce hasła: Eduardo Alvarez, El Tiburón. Pojawiły się setki odnośników, więc Liz skupiła się na wiadomościach graficznych. Już na drugiej z przeglądanych fotografii znalazła to, o co jej chodziło: wyraźne ujęcie ozdoby na szyi Alvareza – białego wydłużonego trójkątnego kształtu zęba na tle ciemnego owłosienia klatki piersiowej. Po powiększeniu kadru rozpoznała charakterystyczną miniaturową koronę.

Mieszkała w Meksyku od siedmiu miesięcy i często oglądała sklepiki z biżuterią w Cabo czy La Paz. Naszyjniki z zębem rekina cieszyły się wielkim wzięciem wśród turystów, były to jednak nieporównanie mniejsze zęby nawleczone na skórzany rzemyk. Nigdy nie spotkała się

z zębem „koronowanym”. Swoją drogą, rekin właściciel zęba na szyi Alvareza to dopiero był okaz...

Wydrukowała fotografię i przejrzała pocztę elektroniczną, trzy listy: od matki, spędzającej wakacje w Michigan, z banku (potwierdzenie wpłynięcia raty pożyczki za rangera) i... od Donny'ego.

Przez minutę, z palcem gotowym do wciśnięcia klawisza, zastanawiała się nad usunięciem listu, ale ciekawość zwyciężyła. Zaczęła czytać tekst i z każdym zdaniem coraz szerzej otwierała oczy.

Popęłnił błąd.

Kochał ją.

Chciał, żeby rzuciła pracę w Meksyku i pierwszym samolotem przyleciała do Malezji. Zaraz potem wzięliby ślub.

– Tu mi kaktus wyrośnie! – wrzasnęła i trzęsącymi się palcami wystukała jedno słowo odpowiedzi.

Z poczuciem satysfakcji i wielkiej ulgi wyłączyła komputer. Co teraz? Z wydrukowanego zdjęcia patrzyły na nią bezwzględne, ciemne oczy Rekina. Wyjęła wizytówkę Adama. Odebrał telefon po trzecim sygnale.

– Tu Liz. Nie przeszkadzam?

– W czym mogę ci pomóc? – zdyszany głos mężczyzny, szelest pościeli i odgłos sprężyn materaca w tle świadczył o tym, że wybrała nieodpowiedni moment na pogawędkę.

Liz stłumiła chichot. Ridgewayowie w aktywny i przyjemny sposób przygotowywali się do snu.

– Mam pewną informację.

– Mianowicie? – Adam błyskawicznie oprzytomniał.

Pomyślała o wysokim prawdopodobieństwie podsłuchiwania jej rozmów telefonicznych. Skąd Alvarez znałby z detalami problemy finansowe Liz?

– Może przyjadę do was, do pensjonatu? Za pół godziny, zgoda?

W porządku.

Pół godziny intymności – to powinno wystarczyć staremu dobremu małżeństwu. Ona zaś spożytkowała ten czas na szybki prysznic i przebranie się. Wetknęła złożony wydruk do kieszeni dzinsów i z mokrymi włosami wsiadła do samochodu.

Z szosy równoległej do wybrzeża roztaczał się widok na białe grzywy fal, rozbijających się o klif. Na bezchmurnym niebie królowały miliony gwiazd. Nic nie zapowiadało sztormu.

To niedobrze – skwitowała Liz w myślach, uśmiechając się figlarnie. Rano miała lecieć na platformę AM237 z nową grupą pracowników. Nie będzie miała pretekstu do przełożenia powrotnego lotu i zanocowania w kajucie.

Ośrodek „Dwa delfiny” był położony w najwyższym punkcie klifu, piętnaście kilometrów od Piedras Rojas. Przy wjeździe na teren dwa odlane z brązu rekiny butlonose wypuszczały w powietrze strugi wody w oświetlonej fontannie. Wzdłuż podjazdu rosły hibiskusy i eukaliptusy, tworzące pachnący tunel. Za głównym budynkiem należało skrócić i żwirową dróżką podjechać do luksusowego bungalowu Maggie i Adama, z własnym basenem i

tarasem widokowym.

Parkując samochód, Liz obiecała sobie, że pewnego dnia będzie ją stać na wakacje w takim miejscu. Kiedy spłaci pożyczkę. I oszczędzi coś na koncie. I rozejrzy się za nową pracą po wygaśnięciu kontraktu z AmMex.

Na razie musiała skupić uwagę na fotografii, która niemal wypalała jej kieszeń. Zastukała do drzwi kołatką w kształcie delfina. Otworzyła potargana Maggie w brzoskwiniowym jedwabnym szalfroczku.

– Cześć, Liz. Wejdz.

– Wybaczcie mi to nagle najście – przepraszała, idąc pełnym zieleni korytarzem do urządzonego z przepychem salonu.

– Nic się nie stało. Szczerze mówiąc, nie jesteś naszym jedynym gościem.

Obok Adama stał mężczyzna. Liz nie kryła zaskoczenia i radości.

– Devlin!

– We własnej osobie, kochanie.

I w świetnej formie fizycznej, jak mogła się przekonać. Był ubrany w obcisłą koszulkę i szorty – typową bieliznę do założenia pod strój pływaka. Na krześle stał aparat tlenowy.

– Nie powiesz chyba, że przypląnąłeś z platformy o własnych siłach!

– Częściowo. Czekala na mnie łódź.

– Ale... ale... – zdezorientowanej kobiecie plątał się język. – Kiedy się tu dostałeś?

– Pięć minut po twoim telefonie – Adam wyręczył Devlina w odpowiedzi. – Troszkę wcześniej niż oczekiwaliśmy.

Nawet nie spojrział na żonę, lecz Maggie zaczerwieniła się po uszy. Devlin powstrzymał wybuch śmiechu.

– Nie rozumiem – Liz domagała się dalszych wyjaśnień. – Co tu robisz?

– Chciałbym przyjrzeć się członkom załogi, którzy zejda na ląd. O czym rozmawiają, dokąd jada.

– Więc dlaczego po prostu nie zaczekałeś do rana. Zabrałbyś się ze mną, helikopterem.

– Bo nie powinni wiedzieć, że są obserwowani. Zupełnie między nami: Maggie, Adam i ja sprawdzimy, czy ci, co przylecą z platformy, okażą się tymi samymi, którzy ruszą dalej do Stanów.

Liz poczuła się dotknięta faktem, że nie została włączona do obserwacji, ale bardziej interesował ją sposób, w jaki Devlin wytłumaczy swoje zniknięcie z platformy.

– Nie będą cię szukać?

– O ile nie zajdzie nic nieprzewidzianego. Pracowałem dwie zmiany pod rząd. Teraz mam całą dobę wolną. Wywiesiłem na drzwiach kajuty kartkę w czterech językach. Ktokolwiek próbowałby mnie obudzić, narazi się na ciężkie uszkodzenie ciała. Maggie wspomniała o twoim telefonie. Co się dzieje?

– Popatrz.

Podala mu wydruk fotografii. Devlin rozłożył kartkę i zmarszczył czoło.

– Rekin znów cię niepokoił?

– Nie, chociaż wczoraj paru jego bandziorów celowało do mnie z Uzi.

Zanim zdążyła opowiedzieć o locie nad rezydencją Alvareza, Devlin rzucił Ridgewayowi surowe spojrzenie.

– Mielicie trzymać ją na krótkiej smyczy. – I tak robimy.

– Jaka smycz? O co chodzi? – uniosła brwi ze zdziwienia.

– Aparatura działa bez zarzutu – stwierdził spokojnie Adam. – Byliśmy z Liz, kiedy to się stało.

– Jakie Uzi? Wy tłumaczcie się.

Zdesperowana Liz wpadła na pomysł, jak dojść do głosu. Przytknęła do ust dwa palce i z całej siły zagwizdała. Trójka agentów zamilkła.

– Do diabła! Jaka smycz?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Devlin zabłądził kiedyś na lotnych piaskach w Luizjanie. Nagle zapadł się w mokradle, wśród palmiczek i omszałych pni cyprysów. Gdy udało mu się wygramolić na coś, co wydawało mu się twardym gruntem, zaraz ugrzązł w zdradliwym podłożu po kolana. Kiedy Liz po raz kolejny zadała pytanie, powróciły wrażenia sprzed lat. Znów się pogрузzył.

– Martwiłem się o ciebie, więc poprosiłem Maggie i Adama, żeby cię oznakowali.

– W jaki sposób?

Jej głos był cichy i zimny. Adam zebrał się na śmiałość, by przełamać lody.

– W wizytówce, którą ci wręczyłem, jest zatopiony mikroczip. Nieustannie wysyła sygnał. Jeśli znalazłabyś się na jakimś niebezpiecznym terenie, ktoś z nas dotarłby tam z pomocą w ciągu kilku, kilkunastu minut.

Liz nie zamierzała wyładowywać gniewu na Adamie. Ze wzrokiem miotającym błyskawice, zwróciła się wprost do Devlina.

– Nikczemnik! A ja ci prawie zaufałam!

Milczał, patrząc, jak kobieta gwałtownymi ruchami wyciąga z kieszeni portfel, a z niego – wizytówkę Ridgewaya. Podarła ją na pół, i znów na pół i jeszcze na mniejsze kawałki, które rzuciła na dywan. Devlin z trudem powstrzymał się od ironicznego komentarza. Przecież ten sam rytuał „wymazywania przeszłości” odprawiła pamiętnej nocy na plaży. Wolał nie dolewać oliwy do ognia.

– Chcę poznać prawdę – zażądała. – Szpikujecie mnie nadajnikami, bo według was jestem zamieszana w proceder kradzieży paszportów?

– Nie. Stwierdziłem tylko, że braliśmy ten wariant pod uwagę. Cały sztab ludzi cię sprawdzał i orzekł, że jesteś czysta – wyjaśnił Devlin.

– Ty też mnie sprawdzałeś? Na platformie? Urządziłeś mi prywatne przesłuchanie w swojej kajucie?

Devlin czuł, że grzęźnie po pas. Nie szukał jednak pomocy Maggie lub Adama. Tym razem nie mogli mu rzucić liny ratunkowej.

– Tyle razy poświęcałem się dla mojej ojczyzny, że raz mogłem zrobić coś wyłącznie dla siebie – oświadczył patetycznie.

Widział, że nie przekonał przeciwniczki. Pozostał mu ostatni argument.

– Jesteś inteligentna, seksowna i świetnie pilotujesz, ale to nie wystarczy, żeby wyprowadzić w pole ludzi Rekina. Otwarcie uprzedziłem, że dostaniesz ochronę. Nie miałaś nic przeciwko temu.

– Ochrona to jedno, a trzymanie mnie na elektronicznej smyczy, bez mojej zgody, to GOŚ zupełnie innego!

– Martwiłem się o ciebie – powtórzył, gdyż nic innego nie miał na swoje usprawiedliwienie.

– Wsadź sobie gdzieś to zmartwienie!

Nie złożyła jeszcze broni w bitwie na emocje, lecz wyraźnie zaczynała tracić siły.

Devlina ogarnęła ulga. Znów poczuł grunt pod nogami.

– Porozmawiamy o tym w cztery oczy, zgoda? Najpierw powiedz, o co chodzi ze zdjęciem Alvareza.

Zmiana tematu powiodła się, Bogu dzięki. Co prawda wzrok Liz nie wróżył nic dobrego w przyszłości, lecz teraz skupiła się na fotografii.

– Widzicie jego naszyjnik?

Agenci OMEGI pochylili się nad wydrukiem. Niezłe trio – oceniła Liz, powoli odzyskując kontrolę nad nerwami. Kruczowłosa, zwinny Adam w czarnej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądał jak pantera. Maggie w brzoskwiniowym jedwabnym szlafrocisku prezentowała się niezwykle elegancko i ponętnie. Pewny siebie, emanujący męskością Devlin kojarzył się ze sprytnym szczurem.

– To ząb rekina na łańcuszku. Przez szkło powiększające dostrzeżlibyście istotny szczegół, mianowicie miniaturową, misterną koronę z zawieszka do przewleczenia łańcuszka.

– Wierzymy ci na słowo – zapewnił Devlin. – Jaki stąd wniosek?

– Dziś wieczór widziałam podobny naszyjnik. U Emilia, kuzyna Jorgego.

W oczach Maggie i Adama pojawiło się zaskoczenie i nagle zainteresowanie. Devlin, co zrozumiałe, nie pojął związku między informacjami.

– Kim są Emilio i Jorge?

– Usiądźmy – zaproponował Adam, wskazując wygodne krzesła i sofę wokół stolika z kutego mosiądzu.

Liz przycupnęła na dwuosobowej sofie, lecz musiała przesunąć się w kąt mebla, kiedy miejsce obok zajął Devlin. Pomyślała ironicznie, że ten mężczyzna zawsze zajmuje większą przestrzeń niż to wynikałoby z jego gabarytów, czy to w łóżku, czy na kanapie.

– Jorge Garcia pracuje w Aero Baja jako główny mechanik. Widziałeś go w terminalu w dniu odlotu na platformę.

Zmarszczył czoło.

– Niski? Z zawiniętymi wąsami? Ze smarem za paznokciami?

Zdumiona mnogością zapamiętanych przez niego' szczegółów, potwierdziła skinieniem głowy. \

– Emilio jest kuzynem żony Jorgego. Ma własny kuter? rybacki, „Santa Guadalupe”. Jorge przyprowadził go do knajpki, żeby poznał Maggie i Adama. Uznali, że Ridgewayowie mogą być zainteresowani czarterowym rejsem na połów ryb.

– Emilio nosi na szyi ząb rekina?

– Owszem.

– Masz sokole oko – pochwaliła Maggie. – Ja nic nie zauważyłam.

– A ja spostrzegłem błysk złotego łańcuszka, ale nic poza tym – wyznał Adam.

– Pamiętacie, jak Jorge potracił butelkę? Emilio i ja równocześnie schyliliśmy się, żeby ją podnieść. Naszyjnik wysunął się zza koszuli, a kiedy o niego zagadnęłam, Emilio zbył mnie, schował ząb i...

– ... i ulotnił się jak oparzony! – zawołała olśniona Maggie. – Czyżby coś łączyło Emilia z Alvarezem? Ząb to symbol gangu, znak rozpoznawczy członków bandy?

– Nie sędę. Dwaj rzezimieszkowie, którzy zawieźli mnie do siedziby Rekina, nie mieli żadnych innych zębów prócz własnych. – Przerwała, aby uzyskać lepszy efekt dramatyczny. – Moim zdaniem naszyjnik Emilia jest tym przedmiotem, o którego odzyskanie usilnie zabiega El Tiburón. Alvarez powiedział, że jego siostrzeniec miał przy sobie coś cennego w nocy, kiedy został zastrzelony. Pewnie pożyczył ząb Martinowi, albo Martin wziął go nie pytając wuja o pozwolenie. Może chciał zaszpanować? Może używał zęba jako swoistej legitymacji nietykalności? W każdym razie, Emilio albo przywłaszczył sobie naszyjnik, albo wie, kto to zrobił.

Trójka agentów wymieniła spojrzenia. Ich myśli zdawały się szybować w rejonach, na jakie Liz nigdy się nie wzniosła.

– To się trzyma kupy – orzekł Adam. – Jorge pracuje dla Aero Baja i ma dostęp do list przewozowych AmMex.

– Wie dokładnie, kto i kiedy schodzi z platformy – dodała Maggie półgłosem. – Przekazuje informacje kuzynowi żony, który, tak się składa, posiada kuter rybacki.

– Emilio namierza cel – kontynuował z ponurą miną Devlin – i zabiera go na łódź, kradnie paszport, a ofiarę wyrzuca za burtę. Potem sprzedaje paszport Alvarezowi, wujowi lub siostrzeńcowi. Chce też dorobić na boku, umawiając się z Amerykaninem, który zamierza zapłacić za informacje o ludziach schodzących z platformy. – Piwne oczy Devlina patrzyły hardo i bezlitośnie. – Założę się, że nie zamierzał mi nic powiedzieć, Prawdopodobnie umówił się nocą na plaży, żeby dać mi w łeb i ograbić z dokumentów. Ale coś poszło nie tak. Martin Alvarez dostał cynk o spotkaniu i śledził Emilia, ale on był szybszy.

– Chwileczkę! – zaprotestowała Liz. – Twoja wersja wydarzeń ma dwa słabe punkty. Po pierwsze, Jorge nie może być w to wmieszany. Znam go. To nie tylko kolega z pracy, to prawdziwy przyjaciel.

– Za to Harry Johnson był *moim* przyjacielem – odparował Devlin ze stęszłą twarzą.

– Mówię tylko, że Jorge i jego żona to dobrzy ludzie. ;

– A drugi słaby punkt?

– Nie istnieją dowody, że Emilio ma z tym coś wspólnego. Nie wiemy nawet, czy to z nim miałeś się spotkać na plaży.

– Może nie, ale sama doszłaś do wniosku, że albo zdjął ząb z szyi Martina, albo wie, kto to zrobił. – Wyraz je go twarzy złagodniał. Przysunął się na sofie do Liz, aż zetknęły się ich uda. – Dobra robota, pani Moore. Tak trzymaj, a może zostaniesz honorowo powołana.

– Do czego?

– Do naszej małej wspólnoty. – Poglaskał ją po karku, nagle przytulił i namiętnie pocałował. – Odwiozę cię do domu, a potem z Adamem i Maggie zabierzemy się do pracy.

Pocałunek smakował wybornie, ale kategoriyczny ton Devlina wcale się kobiecie nie podobał. Wyrwała się z objęć.

– Posłuchaj, kowboju. Nie zabierzesz mnie do domu i nie zapakujesz od łóżka jak grzeczną dziewczynkę. Chcę wiedzieć, co się dalej stanie.

Pełen aprobaty błysk w oczach Devlina zdradzał, że spodziewał się takiej reakcji, ale postanowił przedstawić swoje argumenty.

– Nie stanie się nic ciekawego. Rutynowe, nudne działania. A ty musisz się wyspać. Przecież wczesnym rankiem lecis, prawda?

– Wystarczy mi parę godzin snu. Zresztą mogę przełożyć lot na inną porę.

Devlin nie miał jednak pola manewru. Czas naglił. Musiał wrócić na platformę, aby nikt nie zauważył jego nieobecności. Chętnie wysunąłby następny argument, lecz tu wkroczył Adam.

– Liz ma rację. Stała się częścią naszej operacji i nie powinniśmy jej teraz wyłączać.

– Zgadza się – Maggie poparła męża.

W tej sytuacji Devlin niechętnie kiwnął głową. Adam poruszył kwestię pseudonimów.

– Chyba orientujesz się, że kryptonim Devlina brzmi Wiertacz. Ja jestem Grom, a Maggie Kameleon. Wszyscy pracujemy dla agencji rządowej OMEGA.

Czując zamęt w głowie, Liz jechała w ciemnościach do domu. Milczący Devlin siedział obok. Uparł się, że będzie jej towarzyszyć i że jakoś sobie zorganizuje powrót do ośrodka. Nie sprzeciwiła się. Zafascynowana nową wiedzą, chciała jak najlepiej wejść w sytuację, w której się znalazła – kryptonimy, agentów, OMEGE.

Nazwa OMEGA brzmiała złowieszczo jak zadania przypisane agentom. Liz miała bardzo mgliste pojęcie o tych sprawach. Jej ojciec przeszedł na emeryturę, kiedy była nastolatką. Przepracował dwie kadencje prezydenckie w Pentagonie, ale rzadko napomynał o sprawach służbowych. Świetnie to teraz rozumiała. Sami nosiła w pamięci wiele tajemnic wojskowych dotyczących operacji, w których uczestniczyła. \

I oto trafiła w sam środek awantury na miarę Jamesa Bonda. Zerknęła kątem oka na Devlina. Zamienił obcisłe czarne spodenki z lycry na szorty pożyczone od Adama. Kryptonim pasował do niego jak druga skóra. Był przede wszystkim nafciarzem, a dopiero w drugiej kolejności – agentem. Ale nie sposób było rozdzielić tych dwóch stron jego osobowości. Liz tego nie potrafiła i on chyba także nie potrafił.

– Wiesz – przerwała długą ciszę – lepiej zrozumiałabym charakter twojej pracy, gdybyś powiedział o sobie coś więcej. Coś poza podaniem kryptonimu i stopnia.

– Co chcesz wiedzieć?

– Na dobry początek: gdzie się urodziłeś, gdzie chodziłeś do szkoły, jak spędzasz wolny czas. Dlaczego wymieniłeś brata, a nie na przykład żonę, jako osobę do powiadomienia w razie wypadku. Takie różne ciekawe szczegóły.

– Uporządkujmy dane. Pochodzę z Bartlesville w stanie Oklahoma. Licencjat i magisterium zrobiłem na uczelniach stanowych. Wolny czas spędzam na wędkowaniu z bratem w Colorado albo pod podwoziem starego chevroleta corvette, którego remontuję od lat. A jeśli chodzi o żonę... – próbował zachować obojętny ton głosu, lecz Liz wyczuła nutę żalu – rozstaliśmy się, zanim zacząłem remont chevroleta.

– Nie obyło się bez dramatycznych scen?

– Mogło być gorzej. Czas zaleczył rany. Za długie rozłąki, za mało radości przy powitaniach w domu.

– Nie myślałeś o podjęciu stałej pracy na lądzie?

– Nie tylko myślałem. Przez dwa lata siedziałem za biurkiem w siedzibie firmy. Ale na

uratowanie małżeństwa było za późno.

– Nie masz dzieci?

– Nie mam.

– Wiesz więc życie samotnika.

– Owszem. Alimenty dla żon nacierzy są prawie tak wysokie jak dla żon oficerów. – Rozparł się wygodnie na siedzeniu. – A jak twoje koleje losu? Co się stało z tym nieszczęśnikiem, na którego wylałaś wiadro pomyj na plaży? Dlaczego wam się nie powiodło?

– Podobna przyczyna. Rozłąka. I malezyjska dziennikarka w tle.

– Powiedział ci o niej? Co za bałwan! Oderwała wzrok od szosy przed sobą.

– Wiesz o Bambang?

– Przecież cię sprawdziliśmy. OMEGA nie zaniedbuje szczegółów. – Odsłonił zęby w uśmiechu. – Ale to nie ja ustalałem takie drobiazgi. Ona naprawdę nazywa się Bambang?

– Niestety. – Liz wybuchnęła śmiechem. Jak dobrze, że wreszcie potrafiła się z tego śmiać. – Kojarzy się z „barabara”, prawda?

Zawtórował głośnym chichotem. Odchyliła głowę i oparła na muskularnym, ciepłym ramieniu mężczyzny.

– Tamtej nocy na plaży czułam się jak wypluta.

– Odniosłem podobne wrażenie.

– Donny nie tylko puścił mnie kantem, wyczyścił też nasze wspólne konto bankowe.

– Skurczybyk!

– Podpisuję się obiema rękami! Najśmieszniejsze, że on doszedł teraz do wniosku, że Bambang to nie jest to.

Dziś przysłał mi mail. Chce, żebym wszystko rzuciła i przyleciała do Singapuru.

– Mam nadzieję, że kazałaś mu uciekać gdzie pieprz rośnie.

– Wyraziłam się znacznie dosadniej. I krócej. – I słusznie.

Nie zdecydowała się wyjawić, że bezwiednie przyczynił się do podjętej przez nią decyzji. Po co tuczyć jego ego? Po co go odstraszać? Nawet nie wiedziała, jak się mają sprawy między nimi. Poza tym istniały ważniejsze problemy.

– Powtórz jeszcze raz, jak wygląda plan na jutro? – zapytała. – Muszę się upewnić, czy dobrze zapamiętałam punkt po punkcie.

Palce Devlina niespiesznie pieściły jej kark. Szorstkie opuszki tarły gładką skórę kobiety, wywołując dreszcze.

– Mój dyspozytor w centrali, Rycerz, właśnie sprawdza Emilia. Tymczasem Maggie i Adam wyczarterują jego łódź i przyjrzą mu się z bliska.

– Rycerz sprawdza też Jorgego, tak? – mruknęła, czując się nielojalna wobec przyjaciela.

– Owszem. Liczymy na ciebie, że przed odlotem na platformę zrobisz własne rozeznanie w sytuacji. Sądysz, że uda się to bez wzbudzania podejrzeń? Jeśli nie, zadanie przejdzie na Adama i Maggie.

– Poradzę sobie.

– Świetnie. Zaczekam na twój powrót z platformy, żeby sprawdzić, czy stan osobowy

zgadza się z tym na liście. Jeśli Jorge lub Emilio zainteresują się którymś z nafciarzy...

– Jorge na pewno się nie zainteresuje – oświadczyła chłodno.

– W tym rejonie świata paszporty amerykańskie osiągają słone ceny. Twój przyjaciel nie byłby pierwszym człowiekiem, który paskudnie się w coś wplątał.

Liz nie umiała sobie wyobrazić Jorgego lub Marii czerpiących zyski ze zbrodniczego procederu. Natomiast co do Eduarda Alvareza...

– A kto obserwuje El Tiburóna?

– Jest śledzony.

Liz zatopiła się w myślach. Fale Pacyfiku skrzyły się w blasku księżyca. Światła Piedras Rojas w oddali, pokrywały „zbocze” wzgórze dywanem z migających punkcików.

– A jeśli Emilia nic nie łączy z El Tiburónem? – odezwała się po chwili. – Jeśli ukradł naszyjnik z własnej inicjatywy?

– Możliwe, lecz nieprawdopodobne. Harry zszedł z innej platformy, co sugeruje, że w akcję zamieszane jest więcej osób mieszkających w tej okolicy.

– Racja.

Zamilkła, a po chwili zaparkowała jeepa pod palisandrem i wyłączyła silnik.

– Tu mieszkam. Prosto po schodkach.

– Pozwól, że się rozejrzę w środku.

Odetchnęła z ulgą. Dwóch rzezimieszków Alvareza nastraszyło ją tak, że dygotała na samo wspomnienie. Gdyby miała to przeżyć po raz drugi... Na szczęście nikt nie wyskoczył ani zza drzewa, ani spod schodów. Także Devlin trzymał ręce z daleka. Ale tuż za progiem sytuacja zmieniła się radykalnie. Nie zdążyła włączyć światła, a Devlin już chwycił ją w ramiona i zachłannie pocałował.

– Chyba nie pożegnasz się ze mną w takim momencie? – zamruczał uwodzicielsko do ucha Liz.

Nie zamierzała poddać się bez dyskusji.

– Przypominam, że rano muszę być na lotnisku. A ty masz swoje zadania do wykonania.

– Szybko się uwinę!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wcale nie przesadzał. Zaciągnął Liz do sypialni, rozbierając ją (i siebie) po drodze, aż naga i oszołomiona przysiadła na wyściełanym podnóżku. Chciał od razu przenieść ją na łóżko, lecz zaprotestowała. Wstała i przywarła całym ciałem do Devlina. Całował ją, pieścił sutki, a ona, nie pozostając dłużna, znaczyła wargami wilgotny szlak na jego piersi, brzuchu i niżej, aż objęła ustami twardą jak stal męskość. Kiedy wreszcie wylądowali na materacu, Devlin odwzajemnił pieśczętę, dotykając językiem jej najwrażliwszego punktu. Dysząc, wygięła plecy w łuk i dosłownie zapadła się w otchłań rozkoszy. Ostatnia myśl, jaka przyszła jej do głowy to marzenie, by mieć Devlina przy sobie zawsze, na każdą noc. Rzeczywiście, uwinął się bardzo szybko!

Leżeli zaplątani we własne nogi i ramiona, wyczerpani, zziębnięci, z mocno bijącymi sercami. Na ustach czuła wciąż smak jego ciała, a na jej piersi spoczywała jego głowa. Żartobliwie nawinęła na palec krótki, zjaśniały na słońcu kędziorek.

– Szybki numer, ale zupełnie odlot! – stwierdziła z zachwytem.

– Nie zamierzam polemizować – odrzekł, przytulając ją mocniej. – Jak sądzisz, po co zgłosiłem się na zmianę całodobową? Najpierw planowałem, że zaczekam prawie do świtu, zanim ulotnię się z platformy. Miałem cichą nadzieję, że znajdziemy parę chwil sam na sam.

– Nadzieję czy pewność?

Wybuchnął śmiechem, spontanicznym, zaraźliwym.

– Nadzieję graniczącą z pewnością, zadowolona?

– Odniosłam wrażenie, że swoim wcześniejszym przybyciem pomieszalesz szyki Adamowi i Maggie.

– Mam podobne wrażenie.

~Liz muskała opuszkami palców jego kark i ramiona. Uwielbiała to silne, ciepłe ciało. I ciężkie. Spróbowała uwolnić się od ciężaru.

– Przepraszam, miażdżysz mnie.

– Lubię cię miażdżyć. – Mimo przekomarzającego tonu, Devlin przewrócił się na bok i podparł głowę na rękę. – Bardzo lubię, nie przeczę. Może po zakończeniu akcji urządzimy sobie długie miażdżenie?

Serce Liz załopotało radośnie, lecz w mózgu zapaliła się lampka ostrzegawcza.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł. Oboje przekonaliśmy się boleśnie, że związki na odległość nie mają szans na przetrwanie.

– Może nie wszystkie? Może najgorsze mamy już za sobą?

Bardzo chciałyby przyznać mu słuszość, ale zdrowy rozsądek kazał chłodno ocenić sytuację. Wsparta o wezglowie łóżka, podciągnęła kołdrę pod szyję.

– Zarabiam na życie lotami czarterowymi. Ty pracujesz na morskich platformach wiertniczych, o ile nie wykonujesz zadań agenta, a to – przypuszczam – zdarza się często. Mielibyśmy szczęście, gdyby udało nam się spotkać raz na trzy, cztery miesiące.

– Aero Baja to nie jedyne linie obsługujące wielkie platformy. Gdybyśmy zgrali czas i

miejsce pracy, spotykalibyśmy się znacznie częściej.

– Po co? – W jej głosie zabrzmiała powaga. – Co możemy sobie zaoferować oprócz namiętności i pożądania? Jaką mamy gwarancję, że nie powtórzymy tych błędów, które zniszczyły nasze poprzednie związki?

– Ja jestem starszy, a ty z pewnością mądrzejsza. Powinniśmy umieć połączyć doświadczenie życiowe z pożądaniem i otrzymać w efekcie...

– Co?

Słowo miłość uwieźło Devlinowi w gardle. Jeszcze na to za wcześnie. O wiele za wcześnie. Gdyby teraz wyznał Liz uczucie, nie uwierzyłaby mu. Nie uwierzyłaby, że bardzo chciał jak najprędzej znaleźć się na łądzie, targany i namiętnością, i niepokojem o jej bezpieczeństwo. A teraz powinien zmusić się, żeby ją opuścić.

Nie zdradził jej wszystkich szczegółów operacji. Przedstawił wersje o rutynowych działaniach, podczas gdy umówił się z Adamem na mieście. Zamierzali wśliznąć się na łódź Emilia. Devlin podejrzewał, że Maggie zechce towarzyszyć mężowi. Zapewne pokłóca się o to, kto ma stać na czatach, a kto przeszukać teren. Tak czy tak, zapowiadała się długa, trudna noc.

– Pomyślmy nad odpowiedzią – zaproponował, podnosząc się z łóżka. – Może porozmawiamy o tym następnym razem, kiedy cię odwiedzę. Śpij dobrze, kochanie. A skoro jutro lecis, życzę pomyślnych wiatrów.

Obawiała się, że nie zmrúży oka. Martwiła się o Jorgego, przywoływała też w pamięci czule słowa Devlina na pożegnanie. A jednak niedługo po jego wyjściu zapadła w sen. Obudziły ją promienie słońca, sączące się przez okiennice. Zjadła energetyzujące śniadanie w postaci kawy, soku i batonika, wskoczyła do jeepa i pomknęła przez senne jeszcze ulice na lotnisko.

Główny mechanik Aero Baja już był na posterunku. Przebrany w czysty kombinezon, tankował rangera. Znajoma woń paliwa lotniczego unosiła się w powietrzu jak chmura na błękitnym niebie.

– Witaj, Jorge.

– Dzień dobry, Lizetta. – Uśmiechnięty wąsacz, oślepiiony blaskiem słońca, zmrúżył oczy.

– Ładny dzień na przejażdżkę, co?

– Na to wygląda. Pójdę obejrzeć prognozę pogody i załatwić papierkową robotę.

Kiedy wróciła, maszyna stała zatankowana, gotowa do lotu. Odprawili dobrze znany rytuał: Liz sprawdzała poszczególne podzespoły, a Jorge odhaczał kolejne punkty na liście. Po skończonym przeglądzie Liz zagadnęła Meksykanina niewinnym, obojętnym tonem.

– Zdziwiłam się na wieść o tym, że Emilio czarteruje łódź turystom. Myślałam, że dobrze mu idzie połów tuńczyka.

– Ech, wiesz, jak to jest. Raz uda się połów, raz nie uda.

– Słyszałam, że niektórzy kapitanowie kutrów rybackich dorabiają sobie przemytem narkotyków.

– Ja też słyszałem.

– Ale na pewno nie Emilio! – udała oburzenie. – On nigdy nie wmieszałby się w ciemne

interesy, prawda?

Wąsy Jorgego zadrgały nerwowo. Zwlekał z odpowiedzią, a z każdą sekundą ciszy w żołądku Liz rósł ciężki kamień. O Boże! Oby Jorge nie był zaangażowany w nielegalny transport narkotyków! Albo w jeszcze coś gorszego!

– Nie posądzam Emilia o takie sprawy – odezwał się mechanik – ale Maria...

– Słucham?

– Maria mówi, że jej kuzyn zawsze chce mieć więcej niż ma. – Wzruszył ramionami. – Ale przecież któż z nas nie chce? Na przykład Maria marzy o nowej lodówce. Mój wnuk chciałby mieć modną zabawkę, nazywa się „Gamebox”. Ty oszczędzasz na helikopter „Sikorsky”, żeby rozkręcić własną linię czarterową.

– A ty, Jorge? O czym marzysz?

Uśmiechnął się szeroko, aż końce wąsów zabawnie podjechały mu pod uszy.

– Chciałbym zostać twoim głównym mechanikiem.

– Masz to jak w banku – obiecała z uczuciem ulgi. Niewiele wyciągnęła z Jorgego, ale to wystarczyło, by pozbyć się nieznośnego balastu podejrzeń. W cokolwiek zaplątał się kuzyn żony Jorgego, nie pociągnął za sobą sympatycznego mechanika.

– Załadujmy przesyłki, zanim pojawią się pasażerowie.

Wystartowała godzinę później z okazałym ładunkiem i sześcioma nowymi nafcierzami na pokładzie. Na jej powitanie platforma AM237 wyłoniła się z morza niczym mityczny stwór z dwojgiem gigantycznych ramion żurawi i pomarańczowym ogonem-łącznikiem rurowym. Dzięki łączności radiowej operatorzy dźwigów zawczasu usunęli potężne żurawie z drogi przelotu. Idealnie zgrała moment posadzenia maszyny z kołyszącymi ruchami platformy.

Członkowie załogi, kończący miesięczny kontrakt, czekali już gotowi do odlotu na ląd, zdyscyplinowani, w równym szeregu. Kiedy rozładowywano helikopter, Liz sprawdzała ich dowody tożsamości z wydrukowaną listą, dostarczoną przez AmMex. Dokładnie przypatrywała się fotografiom.

Jeden z pasażerów był Amerykaninem, wracającym do rodzinnego San Diego. Dwaj cudzoziemcy mieli wizy wjazdowe do Stanów. Trzej pozostali zamierzali od razu przesiąść się na samolot do La Paz, a stamtąd łapać połączenia do Europy i na Bliski Wschód.

Czując ciężar odpowiedzialności, postanowiła najwięcej uwagi poświęcić Amerykaninowi. Czy był potencjalnym celem gangu złodziei paszportów? Czy uda mu się bezpiecznie dotrzeć do domu, czy też zaginie gdzieś po drodze, tak jak przyjaciel Devlina? Czy w ogóle opuści Piedras Rojas?

Devlin zapewniał, że każdy z tej szóstki zostanie objęty ścisłym nadzorem na wszystkich etapach podróży, a mimo to Liz z trwożliwie ściśniętym gardłem patrzyła na pasażerów wchodzących do kabiny.

Już miała zasiąść za sterami, kiedy na drabince prowadzącej na lądowisko pojawił się zwalisty Conrad Wallace.

– Hej, Liz!

– Silna bryza rozwiewała mu rzadkie jasne włosy. Wyglądał komicznie, jak szczotka do

ścierania kurzu. Kurczowo uczepony liny bezpieczeństwa, przedstawiciel AmMex ostrożnie zbliżał się do helikoptera. Liz miała tylko nadzieję, że Wallace nie chce urządzić sobie wycieczki lastminute na suchy ląd. W przeciwnym razie musiałyby inaczej rozmieścić ładunek i zatankować dodatkowe paliwo.

– Ledwie cię dopadłem! – wysapał. – Siedziałem w stołówce.

Niewątpliwie pił tam hektolitry kawy i wygłaszał monologi przed każdym, kto w porę nie czmychnął.

– O co chodzi?

– Muszę wysłać ten list.

– Przykro mi, worek z pocztą jest zaplombowany i właśnie podpisałam protokół.

– Wiem, wiem – zagderał. – Zabrali pocztę, zanim zdążyłem dokończyć sprawozdanie.

Bądź tak dobra i po prostu wrzuc to do skrzynki przy terminalu.

Wzięła kopertę, obejrzała. List zaadresowano do jakiejś firmy (nazwa nic jej nie mówiła) w La Paz. Nie zamierzała ryzykować utraty licencji pilota i stabilizacji życiowej przez jedną głupią decyzję omięcia odprawy celnej. Sytuacji nie zmieniał fakt, że nadawca był przedstawicielem AmMex.

– Nie mogę wrzucić listu do skrzynki. Muszę najpierw przejść przez kontrolę na lotnisku.

– Jasne. W porządku.

Kiwnął głową i gestem zaprosił mężczyzn do zajęcia miejsc w kabinie, a sam powoli przesunął się ku drabinie.

Liz włożyła kopertę do kieszeni na udzie i zajęła się procedurą startową.

Jorge czekał na lądowisku. Liz powierzyła mu maszynę, zabrała worek z pocztą i, depcząc po piętach pasażerom, weszła do terminalu. Obsługiwał ich znajomy celnik w asyście kolegi, którego Liz nie знаła. Stała za wszystkimi w kolejce, ukradkiem rozglądając się po sali. Wiedziała, że Devlin przeprowadza wizualną identyfikację nafciarzy, prawdopodobnie za pomocą kamery zawieszanej na szczycie jednej ze ścian. – Czują na sobie wzrok Wiertacza, kiedy kładła na blacie worek z pocztą.

– Proszę. I jeszcze ten list luzem.

Położyła list Wallacea na worku. Celnik obrzucił kopertę rutynowym spojrzeniem.

– *Si*. Prześwietlę to.

Sześciu robotników czekało niecierpliwie, aż ich bagaże zostaną przeszukane, a dokumenty sprawdzone. Liz wyszła z komory celnej. Chciała wypić kawę w terminalowym barze. Zrobiła ledwie kilka kroków, gdy drogę zastąpiła jej zgarbiona, kulejąca staruszka, cała w czerni, wsparta na sękatym kosturze. Pomarszczoną twarz okalały siwe kosmyki. Grube jak denka butelek okulary powiększały gałki oczne do przeraźliwych rozmiarów. Liz grzecznie spróbowała ominąć kobietę, lecz koścista dłoń schwyciła ją za ramię. Przestraszyła się nie na żarty.

– Jesteś pilotką, *si* ? – odezwał się słaby, drżący głos. – *Si*.

– Pomożesz mi odnaleźć torbę? Nie wyjęli jej z samolotu.

Liz zerknęła na budynek terminalu. Chciała jak najszybciej spotkać się z Devlinem, wypytać o rezultaty nocnych działań i kontroli pasażerów.

– *Porfavor* – błagała starowinka.

– Oczywiście. Pójdę z panią zgłosić zaginięcie bagażu.

Ale na próżno rozglądała się za urzędnikiem, który przyjmował zgłoszenia takich przypadków. Rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie widzę...

Kościste palce zacisnęły się mocniej.

– Tędy – polecił nagle zmieniony głos staruszki, która popchnęła Liz w stronę bocznego wejścia.

– Ależ...

– To ja! Maggie.

Liz omal nie padła z wrażenia. Pozwoliła wprowadzić się do zakurzonego, nieużywanego pomieszczenia. Był tam Adam, zaabsorbowany rozmową ze smukłą blondynką z nogą w gipsie oraz przystojnym Latynosem. Devlin, pochylony nad laptopem, nie odrywał wzroku od ekranu.

Znów miał na sobie czarny komplet z lycry, a mokry strój nurka i aparat tlenowy leżały w kącie pokoju. Na widok muskularnego torsu, serce Liz przyspieszyło rytm, ale zaraz poczuła żal, że nie będą mieli czasu dla siebie.

– Kursuję tam i z powrotem, jak prom między platformą i stałym lądem – uśmiechnął się na powitanie.

– Dla ciebie to bułka z masłem – zażartowała. Zafascynowana obserwowała błyskawiczną przemianę Maggie, która, prostując sylwetkę, straciła dobre pięćdziesiąt lat w metryce.

– Do licha, jak zdołałaś tak się przepoczwarzyć? Szeroko uśmiechnięta brunetka zsunęła grube szkła na czubek nosa.

– To proste. Myślisz jak stara, zachowujesz się jak stara, jesteś stara. Według tej samej zasady możesz odegrać tępą gospodynię domową albo zmęczonego programistę komputerowego.

– Albo alfonsa – dodał przystojniak, podchodząc do kobiet. – Tak właśnie poznałem Kameleona – wyjaśnił z zabójczym uśmiechem pod kruczoczarnym wąsem. – W bardzo podejrzanym, bardzo zadymionym barze. Jestem pułkownik Luis Esteban – Latynos podał rękę Liz.

– A oto moja żona, pani doktor Claire Cantwell.

– Kryptonim Cyrene – uzupełniła Maggie, przedstawiając blondynkę kuśtykającą z gipsowym balastem. – Luis i Cyrene powinni być w podróży poślubnej, ale przylecieli tu pomóc nam dozorować operację.

– Nie mogliśmy pozwolić, żeby taka zabawa przeszła nam koło nosa.

Uśmiechnięta Cyrene właśnie miała opowiedzieć Liz o przyczynach kontuzji nogi, lecz Devlin odsunął się od biurka, dając znak do rozpoczęcia narady.

– Wszystko w porządku. Sześciu pasażerów, którzy przylecieli z platformy, to ci sami, których oznakowałem nadajnikami. Nadajniki są aktywne. Sprawdźcie, czy odbieracie sygnały.

Czwórka agentów wyjęła telefony komórkowe i wcisnęła odpowiednie klawisze. Po

potwierdzeniu, że urządzenia pracują prawidłowo, każdy miał ruszyć do swoich zadań. Blondynka z mężem kierowali się na lotnisko w La Paz. Adamowi przypadło śledzenie Amerykanina, który wybierał się do San Diego. Trzeba jeszcze było przydzielić „aniołów stróżów” Portugalczykowi, operatorowi żurawia oraz Meksykaninowi z Piedras Rojas, elektrykowi.

– Musisz wziąć Portugalczyka pod swoje skrzydła – polecił Devlin Maggie. – Dostał wizę na odwiedzinę krewnych w USA. Ważność wizy wygasa za sześć miesięcy.

– Już ja go przypilnuję.

I, na oczach zebranych, Maggie przeszła totalną transformację. Zgięta w pół, wsparta o kostur, pokuśtykała do drzwi.

– A ja? – spytała Liz, kiedy zostali z Devlinem sami. – Co mogę zrobić?

– Możesz mi opowiedzieć przebieg porannej rozmowy z Jorgem. – Zerknął na zegarek. – Mam trochę czasu do powrotu na platformę.

– Jak zamierzasz tam wejść niezauważony w biały dzień?

– Przez jeden z podwodnych luków ewakuacyjnych.

Zapomniała o tej możliwości. Część z luków zaprojektowano z myślą o ewakuacji załogi w wypadku nagłej katastrofy typu zatonięcie, część przeznaczono dla ekip ratunkowych, które z morza próbowałyby dostać się na zagrożoną platformę.

– Zatem co powiedział Jorge?

– Stwierdził, że Emilio zawsze chciałby mieć więcej niż ma.

– Nasz przyjaciel Emilio ukrywa przed ludzkim wzrokiem swój dobytek. Razem z Adamem przeczesaliśmy jego łódź przed świtem. Kuter ma silnik Diesla o mocy siedmiuset koni! Liz gwizdnęła cicho.

– Lekka przesada jak na łódź rybacką.

– Otóż to. Poza tym łajba jest naszpikowana elektroniką. Radar, GPS, najnowszy system nawigacji, wszystko to służy unikaniu kontaktu z patrolami morskimi.

– Uważasz, że przemyca narkotyki?

– Wysoce prawdopodobne.

Twarz mężczyzny stężała. Wzrok zimny jak lód wywołał u Liz dreszcze.

– Chciałbym poznać odpowiedź na pytanie, co jeszcze przemyca Emilio. Adam i ja rozmieściliśmy na łodzi mikrokamery. Kiedy nasz rybak wyruszy w morze, OMEGA przyjrzy mu się dokładnie. A tymczasem...

– W głosie Devlina pojawił się znajomy uwodzicielski ton. Rysy twarzy złagodniały. – Tymczasem – objął kobietę w pasie – zastanówmy się.

– Nad czym?

Przytulił ją mocniej i musnął wargami jej usta.

– Nad tym, o czym rozmawialiśmy w nocy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mimo kuśtykającego chodu i niewygodnych, ciężkich czarnych szat, Maggie bez problemu dotrzymywała kroku Paulowi Casimiro. Wysoki, kędzierzawy Portugalczyk opuścił terminal Aero Baja z workiem marynarskim na ramieniu i, według wiedzy Wiertacza, z wypłatą w kieszeni. Dzięki koszuli w biało-czerwone paski stanowił łatwy cel do obserwacji, a sytuację dodatkowo ułatwiał nadajnik, niepostrzeżenie „sprezentowany” przez Devlina. Maggie dreptała dziarsko za Casimirem, co pewien czas pozostając trochę z tyłu, to znów zawijała ciężką spódnicę i, przyspieszając kroku, podążała bocznymi alejkami, by zrównać się ze śledzonym mężczyzną na głównej ulicy Piedras Rojas.

Wspaniale było znów wkroczyć do akcji! Nareszcie coś się działo, a ona mogła w tym uczestniczyć. Rzecz to niewyobrażalna, lecz po dziesięciu latach małżeństwa darzyła Adama coraz większym uwielbieniem. Na samo wspomnienie chabrowych oczek Gillian lub zaraźliwego radosnego śmiechu Samanty Maggie czuła miłość i wdzięczność wobec ojca jej córek i synka, Adama Ridgewaya juniora, zwanego Czołgiem – uroczego rozrabiaki, silnego, pomysłowego urwisa, umorusanego od stóp do głów. Tęsknota za dziećmi dawała się we znaki, ale Maggie była gotowa wiele znieść, by znów poczuć przyływ adrenaliny.

Portugalczyk zarezerwował bilet na lot z La Paz do Bostonu, nazajutrz rano. Zamierzał odwiedzić krewnych przed powrotem do Europy. Do startu samolotu miał zatem mnóstwo wolnego czasu i najwyraźniej nie spieszył się z roztrwonieniem wypłaty. Przechadzał się po mieście, delektując się zapachem wieprzowiny pieczonej na węglu drzewnym na wolnym powietrzu w licznych restauracyjkach. Podrygując w rytmie dobywającej się z głośników salsy, przystanął na rogu, przed straganem z płytami i gramami komputerowymi.

Decydując się na kupno kompaktu, popełnił błąd. Nagle jak spod ziemi wyłoniła się chmara innych sprzedawców, chcących wcisnąć mu swój towar, od biżuterii po części samochodowe. Operator dźwigu wsunął rękę do tylnej kieszeni spodni, aby uchronić portfel i przedarł się przez wianuszek handlowców. Jednak czterech najbardziej zdeterminowanych natrętów pospieszyło za nim.

– Zszedłeś z platformy, prawda? Kup tequilę albo rum, do domu, na prezent – proponował pierwszy z nich.

– Patrz, piękna jubilerska robota. Srebro najwyższej próby.

– A może chcesz kobietę, *señor* Mam piękną siostrę. Casimiro pokręcił głową i przyspieszył kroku. Czterej natręci również.

– Moja siostra ma przyjaciółkę. Dużo przyjaciółek. Chciałbyś dwie kobiety? Trzy?

– Srebro Taxco, co za jakość! Patrz, *señor*. Próbując pozbyć się Meksykanów deptających mu po piętach, Casimiro skręcił w boczną ulicę, a Maggie za nim, ale zatrzymała się, gdy z cienia jednej z bram charakterystycznym rozkołysanym marynarskim krokiem wyszedł Emilio i zaczął operatora.

– Hola, *señor*!

Portugalczyk obejrzał się przez ramię. Emilio w mig go dogonił.

– Zszedłeś z platformy AM237,?

– Si.

– Mój przyjaciel tam pracuje. – Klepnął nafcjarza po ramieniu jak starego znajomego. – Mam tequilę na pokładzie. „Santa Maria Guadalupe”. Łajba cumuje w porcie, niedaleko. Postawię ci drinka, a ty opowiesz, co słyhać u mojego przyjaciela.

Maggie dokładnie słyszała przebieg rozmowy. Z bijącym sercem wyjęła z przepastnych fałdów spódnicy telefon komórkowy. Nieświadomy niczego obserwator pomyślałby, że podniosła dłoń, aby podrapać się w brodawkę na podbródku.

– Do dyspozytora OMEGI – odezwała się półgłosem. – Mówi Kameleon.

– Komu w drogę, temu czas.

Devlin złożył na ustach Liz długi pożegnalny pocałunek.

Odsuwał chwilę powrotu na platformę, chcąc wysłuchać zdania kobiety na temat miejsca Jorgego w całej sprawie. Jednocześnie śledził szlaki przemieszczania się wszystkich sześciu obiektów. Trzech nafcjarzy wsiadło do autobusu jadącego do La Paz. Pilnowali ich Cyrene i Esteban. Meksykanina z Piedras Rojas z radością powitały w domu dzieci i żona. Amerykanin odebrał samochód z parkingu i mknął właśnie szosą na północ, a Adam jechał kilka kilometrów za nim. Maggie nie spuszczała oka z Portugalczyka.

Devlin musiał wrócić na platformę. Jeśli nawet bieżąca grupa sześciu nafcjarzy objętych nadzorem szczęśliwie dotrze na miejsce przeznaczenia, następnym sześciu może grozić niebezpieczeństwo. OMEGA zamierzała prowadzić akcję aż do momentu schwytania organizatorów przestępczego procederu.

Rozstanie z Liz okazało się boleśniejsze niż przypuszczał. Kobieta zamieszkała na dobre nie tylko w jego myślach, lecz także w uczuciach.

– Kiedy masz w grafiku następny lot? – spytał, wkładając aparat tlenowy.

– AmMex przeprowadza na platformach inspekcję. W środę zawiozę kontrolerów na AM237.

– W środę? Może uda nam się...

Sygnal telefonu przerwał mu w pół zdania.

– Tu Wiertacz. Odbiór.

– Mówi Rycerz. Obiekt śledzony przez Kameleona zetknął się z człowiekiem, którego kazałeś mi sprawdzić. To Emilio Garcia. Chwileczkę...

Devlin podskoczył z wrażenia. Nareszcie przełom!

– Kameleon twierdzi, że obiekt i Garda udali się na jego łódź i zeszli pod pokład. Kameleon też chce się tam wśliznąć.

– Zeszłej nocy Adam i ja zainstalowaliśmy na tej łodzi kamery. Aktywuj je, Rycerzu.

– Mam już odbiór obrazu.

Nie odrywając telefonu od ucha, Devlin przekazał Liz najnowsze wieści.

– Widzę na monitorze Gardę i Casimira – Rycerz przełączył tryb łączności na jednoczesny kontakt z Wiertaczem i Maggie. – Jest tu jeszcze ktoś. Cholera, właśnie walnął Portugalczyka w głowę. Facet padł jak ogłuszony byk. Kameleon, słyszysz?

– Zejdę tam.

– Nie! – zaprotestował Devlin. – Poczekaj na pomoc. Chwycił torbę i ruszył do drzwi, a za nim – wystraszona Liz.

– Trzymaj się, Kameleon. Idę do ciebie.

– Nie mogę czekać – oświadczyła Maggie pełnym napięcia szeptem. – Emilio odpala silnik. Muszą wyjść na pokład, żeby odcumować kuter. Załatwię ich pojedynczo i...

W słuchawce rozległ się cichy szum, a potem zapadła głucha cisza.

– Kameleon, tu dyspozytor! Odezwij się! – nawoływał Rycerz.

Devlin i Liz pobiegli do samochodu zaparkowanego na tyłach terminalu. Tymczasem na łączach pojawił się Adam, zaniepokojony losem żony.

– Kameleon, tu Grom – jego głos nie zdradzał najmniejszych emocji. – Odezwij się, proszę.

– Straciliśmy sygnał – oznajmił Rycerz.

– A co z kamerami? – dopytywał się zdyszany Devlin. – Jest obraz?

– Tak. Widzę Emilia. Drugi mężczyzna właśnie krępuje nasz obiekt. Zaraz! Jest ktoś trzeci. Ciągnie za sobą coś ciężkiego, czarnego... – To Kameleon – potwierdził po chwili długiej jak wieczność. – Żyje, bo przecież nie związałyby zwłok!

Z uczuciem ulgi Devlin siadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Liz zajęła miejsce dla pasażera.

– Kuter odpływa – Rycerz monitorował sytuację. – Odbieramy sygnał z nadajnika Portugalczyka.

Adam przejął dowództwo nad operacją.

– Zawiadom straż przybrzeżną, meksykańską lub amerykańską, tę, której jednostka znajduje się najbliżej. Aha, i załatw helikopter. Wracam do Piedras Rojas. Informujcie mnie na bieżąco.

Devlin zatrzaskał klapkę telefonu. Nie było czasu na barwne opowieści.

– Mają Maggie i płyną na pełne morze – streścił kobiecie ostatnie wydarzenia. – Adam chce prowadzić akcję z helikoptera.

– Nie ma na co czekać – stwierdziła Liz bez zastanowienia, wyskakując z samochodu. – Chodź!

Maszyna firmy Aero Baja stała dokładnie tam, gdzie Liz posadziła ją niecałą godzinę wcześniej. Liz w myślach zestawiała wszystkie parametry: zapas paliwa, ciężar ładunku, prędkość wiatru, kierunek lotu. Wyszło na to, że będą mogli spędzić w powietrzu co najmniej godzinę.

Wdrapała się do kabiny i zaczęła procedurę startową. Devlin usiadł na fotelu drugiego pilota. Nagle z hangaru wyłonił się Jorge.

– Dokąd lecisz? – spytał, przekrzykując ryk silników.

Liz natychmiast podjęła decyzję. Postanowiła zaufać przyjacielowi. OMEGA straciła łączność z Maggie. Gdyby zamilkł również nadajnik Portugalczyka, Liz mogłaby skorzystać z częstotliwości, na której kutry utrzymywały łączność z lądem.

– Lecimy w ślad za Emiliem – wyjaśniła. – Właśnie wyszedł w morze z panią Ridgeway na pokładzie.

– Señora Ridgeway czarteruje jego łódź? Nic nam nie wspomniał.

Liz nie miała czasu na wyjaśnienia.

– Znasz częstotliwość, na której pracuje radiostacja Emilia?

Devlin powiedział, że kuter Meksykanina naszpikowany jest elektroniką, a w grę wchodziło kilka zakresów fal radiowych. Nie zdążyłaby ich przeszukać.

– Jorge, proszę! Pani Ridgeway jest w tarapatach. Jaka to częstotliwość?

– Sześć i pół. Czasem osiem i pół – odpowiedział z ponurą miną. – Polecę z tobą, pomogę szukać.

Na szczęście nadajnik umieszczony w ubraniu operatora dźwigu wciąż emitował sygnał. Dyspozytor OMEGI ustalił kurs Liz na północ – północny zachód. Wycisnęła z maszyny maksimum możliwości. Po kilku minutach zauważyła jasnoniebieską smugę, znaczoną przez łódź na kobaltowych falach Pacyfiku.

– Tam! „Guadalupe”.

Jorge wskazał biały kadłub. Dzięki Devlinowi poznał już przyczynę szaleńczej pogoni za kutrem kuzyna. Liz kiwnęła głową i dodała prędkości – Jak nisko nad pokładem możesz zawisnąć? – dopytywał się Devlin, w specjalnej uprząży, gotowy do podczepienia liny holowniczej.

– Tak nisko, jak sobie zażyczysz. Mogę zejść do powierzchni morza i wtedy skoczysz do wody albo Jorge opuści cię na linie na pokład.

W obu przypadkach Devlin byłby łatwym celem dla Emilia i jego kompanów. Liz gorączkowo szukała trzeciej możliwości.

– Nawiąż z nimi łączność. Może poddadzą się bez walki, jeśli zobaczą, że ich namierzaliśmy.

Devlin ustawił częstotliwość sześć i pół i włączył mikrofon.

– Ahoj, „Santa Guadalupe”. Tu Aero Baja 214. Słyszycie mnie? – Brak odpowiedzi. – „Santa Gaudalupe”, jesteśmy tuż nad waszą rufą. Słyszycie?

Na pokładzie pojawiła się jakaś postać z lornetką. Czerwona chustka na szyi wskazywałaby na Emilia.

– To kuzyn mojej żony – potwierdził nachmurzony Jorge. – *Hibridol* Spod pokładu wyszedł drugi człowiek, uzbrojony w karabin. Wymierzył lufę w helikopter. Ładne poddanie się bez walki!

– Trzymajcie się! – wrzasnęła Liz, lecz zanim poderwała maszynę do lotu, na pokład wybiegła trzecia osoba, z długimi jasnymi włosami. Zamachnęła się czymś przypominającym laskę.

– To Maggie! – rozpoznał Devlin. – Boże, w co ona jest uzbrojona?

Nieważne w co, ważne, że skutecznie. Uderzyła w głowę napastnika trzymającego karabin, raz i drugi, aż przechylił się przez reling i wypadł za burłę, a wraz z nim – broń.

Teraz przyszedł kolej na Emilia, który chwycił za jeden z haków do zwijania żagli. Maggie odparła jego atak laską. Na pokładzie rozgrywał się istny taniec z szablami, taniec życia ze śmiercią. Liz zniżyła pułap, aż płozy prawie dotknęły oceanu. Devlin i Jorge skoczyli do wody. Natychmiast musiała poderwać helikopter, aby nie zderzył się z którymś z ruchomych

bomów. Maggie dzielnie odpierała ciosy haka, jednocześnie zrywając z siebie niewygodną spódnicę. Liz postanowiła wkroczyć do walki, wykorzystując niesamowite możliwości sterowne helikoptera. Zbliżyła się burtą maszyny do walczących, kierując podmuch wirnika wprost na Emilia. Pęd powietrza w okamgnieniu ściął go z nóg i rybak wpadł głową w dół pod pokład.

Liz eskortowała „Santa Guadalupe” do portu w Piedras Rojas. Widząc Adama na nabrzeżu, pomachała mu i skręciła w stronę lotniska Aero Baja, a tam wskoczyła do swego jeepa i pojechała z powrotem do portu. Wszyscy czekali na pokładzie kutra na przybycie policji. Maggie zdjęła perukę, roztrzęsiony Paulo Casimiro wciąż nie mógł dojść do siebie. Devlin i Adam ucieli sobie wstępną pogawędkę ze skutymi Meksykanami.

– Emilio przyznał, że zapłacono mu za zwabienie Paula na łódź, ogłuszenie go i obrabowanie z dokumentów – wyjaśniła Maggie. – Drań sam się pochwalił, kiedy związał nas jak baleron.

– Jak się uwolniłaś?

– Kiedy jeszcze pracowaliśmy w OMEDZE, Adam – tu z miłością zerknęła na męża – nauczył mnie pewnej sztuczki. – Uniosła spódnicę, pokazując staromodny trzewik. – Zawsze schowaj w podeszwie ostrze, kiedy idziesz na akcję.

– Zapamiętam!

– Nie zaszkodzi też mieć pod ręką wypchaną makrełę – uśmiechnięta szeroko Maggie pokazała przedmiot, którym walczyła z Emiliem. – Ta miła ozdoba wisiała na ścianie kajuty.

– Przylałaś tym rzeźmieszkom rybą?!

– Dziwisz się? – W oczach Maggie rozbłysły wesołe iskierki. – Ty za to posłużyłaś się biczem ukreconym z powietrza!

Liz zerknęła na unieszkodliwionych napastników.

– Wszyscy trzej pracują dla El Tiburóna?

– Najwyraźniej nie. Emilio wygadał się też i na ten temat. Stwierdził, że Rekin nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Uważał, że proceder jest zbyt ryzykowny i ściągnie mu na kark policję z komendy głównej. Tak więc jego siostrzeniec, Martin, rozkręcił interes na własną rękę. Emilio należał do jego najbardziej zaufanych ludzi, tyle że popadli w konflikt i Martin dostał kulkę między oczy.

Liz gwizdnęła z wrażenia. Emilio wpakował się w nie lada kłopoty. Naraził się i policji, i El Tiburónowi. Na jego miejscu bardziej zmartwiłaby się tym drugim problemem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Nadal brakuje najważniejszego fragmentu układanki. Devlin odstawił talerz na wieko kufra, służącego Liz za stolik do kawy. Po pizzy, odgrzanej w mikrofalówce, zostały tylko okruchy. Było dobrze po północy, lecz Liz nie chciało się spać. Siedziała po turecku na sofie. Poranne emocje jeszcze nie opadły. Gdy ona czekała w swoim mieszkaniu na Devlina, on wraz z grupą oficerów śledczych prowadził wielogodzinne przesłuchanie Emilia i jego pomocników.

Reszta zespołu OMEGI natychmiast się rozpierchła. Maggie i Adam wrócili do domu, a Claire z mężem postanowili kontynuować podróż poślubną. Devlin chciał zostać dłużej i osobiście przyjrzeć się rozwojowi sytuacji. Chociaż władze meksykańskie obiecały zachować w tajemnicy jego powiązania z tajnymi służbami USA, przewidywał możliwość wycieku informacji. Prawdopodobnie już to nastąpiło.

– Emilio przysięga, że miał kontakt jedynie z Martinem Alvarezem – zrelacjonował to, co usłyszał od Maggie na łodzi. – Alvarez dostarczał nazwiska i fotografie ofiar. Powiadał też Emilia, kiedy nafciarze schodzą z platformy i odbierał dokumenty po tym, jak Emilio... pozbył się zwłok.

Ostatnie słowo ledwo przeszło Devlinowi przez usta. Nie wątpił, że Harry Johnson nie żyje. Emilio zaklinał się, że nie miał nic wspólnego z jego zniknięciem. I pewnie nie kłamał, ponieważ przyjaciel Devlina pracował na innej platformie, na południowym odcinku wybrzeża. Przyznał jednak, że instrukcje Martina były jasne: usidlić cel, zabrać dokumenty, obciążyć ciało odważnikami i rzucić rybom na pożarcie. Przyznał też, że na usługach Martina pracowali i inni szyprowie. Licząc na złagodzenie kary, podał ich nazwiska i Devlin planował udział w przesłuchaniach, lecz podejrzewał, że nie wniosą one nic nowego. Wszystkie nitki prowadziły do Martina Alvareza, a zmarły już niczego nie zezna.

– Czego w takim razie Emilio chciał od Paula? – dociekała Liz. – Przecież po śmierci Martina nie dostałby pieniędzy za skradzione dokumenty.

– Emilio zamierzał przejąć interesy Martina. Dlatego zdjął mu z szyi ząb rekina. I czekał na kontakt informatora z platformy, który typował nafciarzy do obrabowania i zlikwidowania.

– Emilio, szaraczek o wielkich ambicjach. El Tiburón dopadłby go wcześniej czy później.

– Tym razem później. Na nasze szczęście – Devlin wysilił się na uśmiech. – Dzięki tobie. Zauważyłaś ząb i skojarzyłaś fakty.

– Emilio miał go na szyi w chwili aresztowania?

– Owszem.

– Założę się, że policja nie upilnuje znaleziska. Rekin ma wszędzie swoje dojścia.

– Mam zeznania Emilia na taśmie wideo. Ząb nie jest nam potrzebny, by potwierdzić istnienie łańcucha zależności. – Devlin zmarszczył czoło i podjął wążek brakującego ogniwa.

– Ktoś dostarczał Martinowi informacje prosto z bazy danych pracowników AmMex. Nazwiska, narodowość, daty zejścia na ląd.

Liz wzruszyła ramionami.

– Ich komputery mają słabe zabezpieczenia. Nawet dla początkującego hakera to bułka z masłem. Parę razy sama włamałam się do systemu, żeby sprawdzić dane pasażerów.

– Nasi eksperci znaleźli ślady ponad dziesięciu nielegalnych wejść do bazy. Sprawdzili też tysiące emaili wysłanych z platformy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Żaden z nich nie był zaadresowany do Martina Alvareza.

– A zatem informator przekazywał mu informacje inną drogą. Może nawet osobiście, podczas wizyt na lądzie.

– Albo ukrywając wiadomość w jakimś przedmiocie wywożonym z platformy. Używał nieświadomych niczego kurierów.

Liz jęknęła z wrażenia.

– Przy każdym locie wiozę worek z pocztą!

– Wiem. Odkąd przybyłem na platformę, każda przesyłka została przebadana.

– Nie każda.

– Jak to? – Uniósł brwi ze zdumienia. – Jesteś prywatnym posłańcem któregoś z pracowników?

– Wyglądam na idiotkę? – Oburzona mina kobiety nie pozostawiała wątpliwości co do jej prawdopodobności. – Chociaż znam wielu z pracowników platformy, nawet największemu przyjacielowi nie oddałabym takiej przysługi. W Meksyku to najkrótsza droga do dożywocia w ciasnej celi.

– To co przeoczyliśmy?

– Nic szczególnego. Chyba szkoda, że o tym wspomniałam. Niedawno Conrad Wallace spóźnił się z wrzuceniem listu do skrzynki, więc wzięłam go do kieszeni.

– Wallace?

Kiedy przedstawiciel AmMex napomknął o sporej sumie przegranej w kasynie, Devlin polecił OMEDZE rozpoznanie stanu finansów Wallace'a. Dochodzenie nie wykazało większych nieprawidłowości. Zapewne i trop listu nie doprowadziłby donikąd. Mimo wszystko trzeba było to sprawdzić.

– Co zrobiłaś z tym listem?

– Dałam celnikowi w terminalu. Przypuszczam, że prześwietlił go i wyekspediował z resztą poczty.

– Zapamiętałaś adresata?

– Jakaś firma w La Paz, bodajże „Marinę Supplies”. Devlin sięgnął po komórkę. Nagle rozległ się trzask drzwi samochodu przed domem.

– Spodziewasz się gości?

– Nie. A ty?

Potrząsnął głową, odruchowo wydobyl z torby broń i zacisnął palce na zimnej stali. Ktoś wchodził po schodkach. Devlin kazał Liz ukryć się za kontuarem, oddzielającym aneks kuchenny od salonu. Niezadowolona kobieta zgromiła go wzrokiem, ale posłusznie zniknęła za blatem, by zaraz pojawić się z wielkim nożem w dłoni.

Nie było czasu na dyskusję. Devlin odbezpieczył walthera PPK i przywarł plecami do ściany obok wejścia. Wymownym gestem zakazał Liz reagować na stukanie do drzwi.

– Hej, Lizabeth! – zawołał zniecierpliwiony męski głos. – Otwórz! To ja, Donny.
Oczy Liz omal nie wyszły z orbit.
– Skąd się, na Boga, tutaj wziąłeś? – nie kryła zaskoczenia, otwierając drzwi.
– Dostałem twój mail. – Były narzeczony oparł łokieć o framugę i zastosował uwodzicielski uśmiech numer dwa. – Pomyślałem, że jeśli pojawię się osobiście, może przekonam cię do zmiany zdania.
– Źle myślałeś – stwierdziła obojętnym tonem.
– Daj spokój – chwycił ją za ramię. – Wiem, że za mną tęsknisz.
Oburzona jego arogancją, wyrwała rękę.
– Już przestałam.
– Bzdura. Nie zapomniałabyś tak szybko.
Devlin schował PPK do kabury i stanął u boku Liz.
– Słyszałeś, co powiedziała dama? Przeszedłeś do historii, bracie.
Donny zamrugął powiekami i mimowolnie cofnął się o krok.
– Co to za diabeł?
– Ten diabeł chętnie zbada wytrzymałość twojego kulfona – zaproponował Devlin bez ogródek.

I nie były to czcze obietnice. Wiertacz chwycił intruza za koszulę i wymierzył mu cios w nos, aż chlusnęła krew i niewierny narzeczony Liz rzeczywiście odszedł w mrok historii, padając zemdlony na podeście schodów. Devlin zamknął drzwi.

Elizabeth przez kilka minut nie potrafiła otrząsnąć się z szoku.
– Sama chciałam wyrównać rachunki – oświadczyła z pretensją.
– Proszę bardzo, następnym razem, o ile facet odważy się znów pojawić. Mam nadzieję, że jego los nie wzbudził w tobie litości?
– Co chcesz przez to powiedzieć? Objął ją mocno za szyję.
– Wiem, że chcę stać się częścią twojego życia, Liz. Na pewno uda się nam pogodzić życie zawodowe i osobiste.
– Na pewno?

Promienny uśmiech Devlina rozmroziłby serce Królowej Śniegu.
– Dziś rano, kiedy poprowadziłaś swój helikopter do akcji, pozbyłem się wszystkich wątpliwości. Uwielbiam twoją odwagę i śmiałość w podejmowaniu decyzji. – Musnął jej usta pocałunkiem. – I twój profesjonalizm.

– Dłuższy pocałunek. – I twój zgrabny tyłeczek.
Następny pocałunek został przerwany przez hałas za oknem. Przed dom zajechał czarny mercedes, w którego wyskoczyło dwóch znajomych osobników. Liz pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Tego brzydkiego nazwałam „Niski”. A temu elegancikowi w lawendowej koszuli dałam ksywkę „Półbuciarz”. Aha, ten, który wysiada z tylnego siedzenia to El Tiburón.

Devlin demonstracyjnie wyciągnął dłoń z waltherem. Niski i Półbuciarz zakleli szpetnie i chcieli wyjąć broń, lecz Rekin powstrzymał ich jednym słowem.

– Chciałbym porozmawiać z panią Moore – zawołał w stronę domu.

– Pani Moore nie będzie z nikim rozmawiać, dopóki wszyscy nie położycie broni na ziemi. Tylko powoli!

– Devlin przejął inicjatywę.

Alvarez wzruszył ramionami, wyjął pistolet spod poły sportowej marynarki i rzucił na trawę. Dwaj gangsterzy poszli za przykładem szefa.

– Ty możesz wejść, ale twoi pomagierzy zaczekają – Devlin, mający milczące przyzwolenie Liz, kierował rozwojem wydarzeń.

Alvarez nie zaprotestował. Kiedy zbliżył się do schodów, Liz natychmiast dostrzegła trójkątny kształt jaśniejący na jego piersi w rozchyleniu koszuli. A więc cenny ząb rzeczywiście nie zagrzał długo miejsca w policyjnym depozycie...

Rekin z zainteresowaniem zerknął na nieprzytomnego Donny'ego, wciąż tarasującego podest.

– Miała z nim pani kłopoty?

– Można tak to ująć.

– Trzeba było powiedzieć! Rozwiązałbym problem.

Akurat w tej chwili Donny zaczął dawać oznaki życia. Ból i wściekłość zdopingowały go do podniesienia się na nogi.

– Ty sukinkocie! Złamałeś mi nos! – jęknął, obmacując zakrwawioną twarz.

– Ciesz się, że tylko to ci złamałem. Zamknij dziób i zjeżdżaj stąd, ale już! – Cierpliwość Devlina właśnie się wyczerpała.

Alvarez postanowił w radykalny sposób pozbyć się przeszkody na drodze do drzwi. Jednym ciosem w kark posłał Donny'ego z powrotem na deski.

– Niezbyt rozgarnięty facet – ocenił. – Moi chłopcy mogą go stąd usunąć.

Liz z żalem popatrzyła na zmasakrowanego mężczyznę, którego kiedyś kochała. Albo tylko tak jej się wydawało.

– Dziękuję za propozycję, ale. nie skorzystam.

– Przejdźmy więc do rzeczy, pani Moore. Wiem dokładnie, co się dzisiaj wydarzyło. Z tym dupkiem Emiliem, który spiskował za moimi plecami, policzę się osobno. Ale jako człowiek honoru chciałbym też spłacić dług wobec pani. Przecież odzyskałem mój talizman – pokazał naszyjnik. – Zrobiłem przelew na pani konto. W przyszłym tygodniu dostanie pani zamówiony helikopter. Sikorsky 450L.

Kobiecie zapało dech w piersiach.

– Nie mogę przyjąć żadnych darów! Nie od pana!

– Helikopter jest zamówiony, zapłacony. Co pani z nim zrobi, to już nie moja sprawa.

– Wie pan, co zrobić? – Wybuchnęła gniewem. – Przekażę tę maszynę jako darowiznę dla brygady antynarkotykowej, żeby mogła regularnie kontrolować z powietrza pana hacjendę!

Wzrok Alvaraza poweselał.

– Możemy renegeować warunki naszej umowy.

– Nie czas na żarty, panie Alvarez! Jeśli nie anuluje pan przelewu i zamówienia, nowiutki helikopter będzie trzy razy każdej nocy terkotał nad pańską posiadłością. Jeśli zajdzie potrzeba, sama będę go pilotować!

– W porządku. Anuluję wszystko. – Odruchowo dotknął symbolu swojej władzy. – Jako człowiek honoru muszę jednak jakoś odwdziżyć się pani za pomoc. Proszę. – Wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę. – Moja siostra znalazła to w skrytce pocztowej, wynajętej przez Martina. Sądzę że oboje... – tu uprzejmie skinął głową w stronę Devlina – będziecie tym zainteresowani.

Liz chwyciła kopertę i przeczytała adres.

– Patrz! – pomachała listem przed nosem Devlina. – Zaadresowane do firmy, o której ci mówiłam. Marine Supplies.

– To firmakrzak – wyjaśnił Alvarez. – Założył ją mój siostrzeniec. No cóż. Zostawiam kopertę i uważam dług za spłacony, zgoda?

Gdyby nie chodziło o bossa narkotykowego, Liz rzuciłaby mu się na szyję i ucałowała.

– Zgoda.

Gdy tylko Rekin odjechał ze swoją świtą, Devlin i Liz zajęli się kopertą. Wewnątrz znajdował się formularz dyspozycji bankowej, wypełniony ręcznie znanym charakterem pisma. Ten sam podpis znalazł się tydzień wcześniej na czeku z zaliczką wypłaty Liz.

– Conrad Wallace!

– Jesteś pewna?

– Na sto procent! Znaleźliśmy brakujące ogniwo! To on wskazywał Martinowi ofiary.

Twarz Devlina stężała. Zimne oczy wyrażały chęć zemsty. Liz świetnie go rozumiała. Nie było na co czekać.

– Co powiesz na nocny lot na platformę AM237?

– Atrakcyjna propozycja. Wykonam tylko parę telefonów i jedziemy na lotnisko.

Tymczasem Donny podjął drugą heroiczną próbę powrotu do rzeczywistości. Sapiąc i pojękując, zdołał unieść się na łokciu, ale gdy zamglonym wzrokiem rozpoznał zbliżającego się Devlina, znów osunął się na podest.

– Mądra reakcja – pochwalił go Wiertacz. – I tak jeszcze raz posłałbym cię na deski.

– Kim jesteś? Co tu się właściwie dzieje?

– Wystarczy ci informacja, że wypadłeś z gry, kolego. Donny błagalnie spojrzał na Liz.

– A tak mnie zapewniałaś, że tęsknisz i wiernie czekasz.

– Wierzyłam w to, co piszę, ponieważ uległam złudzeniu, że cię kocham. – Przeniosła mocno rozmarzony wzrok na Devlina. – I nagle spotkałam na plaży przystojnego obywatela. Dzięki niemu poznałam inną definicję miłości.

Wiertacz podsumował jej wyznanie długim, namiętym pocałunkiem.

– Pięknie powiedziane, kochanie. Rozwiniemy ten temat po powrocie z platformy. Conrad Wallace już nigdy nie pošle żadnego nafciarza na śmierć.

EPILOG

Sześć miesięcy później

Wybrali wspaniałe miejsce na ślub. Słoneczne iskierki tańczyły po falach Pacyfiku. Grudniowa aura była łaskawa dla gości, którzy wysypali się z samochodów zaparkowanych na nabrzeżu. Klif, wbijający się w morze na krańcu plaży, w promieniach słońca przybrał barwę umbrę.

Białe krzesła ustawione były przodem do turkusowych fal. Subcommandante Riviera siedział tuż przy miejscu dla panny młodej. W galowym mundurze wyglądał sztywno i oficjalnie. Żona Jorgego, Maria, i gromadka ich dzieci zajęli miejsca w tym samym rzędzie. Anita Lopez i liczni stali klienci „El Poco Lobo” usiedli za nimi. Po głębszym zastanowieniu Liz wystosowała zaproszenie do Eduarda Alvareza z małżonką. Ku jej wielkiej uldze przeprosili, że nie mogą przybyć z powodu wyjazdu za granicę, ale El Tiburón przysłał gratulacje i propozycję spędzenia podróży poślubnej na jego jachcie. Liz podziękowała i grzecznie odmówiła.

Maggie i Adam wraz z trojgiem dzieci usiedli po stronie pana młodego. Długonoga Gillian miała po ojcu czarne włosy i łobuzerskie spojrzenie. Samantha odziedziczyła po matce miodowy odcień włosów i energiczne usposobienie. Czołg zaraz po przyjeździe wytarzał się w piasku i podreptał ku morzu, i tylko czujność ojca uratowała małego marynarza przed „pełnym zanurzeniem”.

Zbuntowany berbec, niecierpliwie machający nogami, został ulokowany na krześle obok Nicka Jensena i jego żony Mackenzie. Dalej siedzieli Claire Cantwell i jej mąż. Gips z nogi Claire zdjęto dobre kilka miesięcy wcześniej, lecz Luis Esteban wciąż traktował ją jak filizankę z najdelikatniejszej porcelany.

Miejsce obok Claire zajęła smukła, kasztanowowłosa kobieta, trzymająca mocno za rękę rozbrykanego trzylatka, który, podobnie jak Czołg, najchętniej popływałby w oceanie. Devlin nie bez wątpliwości zaprosił ich na ślub. Eve nadal opłakiwała stratę ukochanego narzeczonego. Co prawda zapewniała, że cieszy ją szczęście Devlina, który znalazł żonę właśnie podczas poszukiwań Harry’ego, ale Wiertacz z zatroskaniem patrzył na jej bladą, smutną twarz.

Najwyraźniej w oczach innych, Eve nie straciła na atrakcyjności. Poprzedniego wieczoru, podczas uroczystej kolacji w „Dwóch Delfinach”, były naręczony Liz nie odstępował Eve na krok. Devlin przymierzał się do posłania nieproszonego gościa na deski (miał w tym przecież wprawę), ale Liz okazała wspaniałomyślność, zwłaszcza że Donny pojawił się z czekiem na sumę, którą kiedyś wypłacił sobie ze wspólnego konta.

Właściwie nie narzekała na brak gotówki. Dobytek jej firmy czarterowej obejmował już trzy helikoptery, a złożyła zamówienie na czwarty. Od pół roku zapewniała transport platformom wiertniczym wzdłuż wybrzeża półwyspów Kalifornijskiego i Baja. Za obsługę naziemną odpowiadał Jorge Garcia. Devlin, który również pracował na platformach w tym

rejonie, dwukrotnie uczestniczył w misjach OMEGI – w rozpracowaniu gangu handlującego ludzkimi organami do przeszczepów i w rozbiciu grupy partyzantów, ukrywającej się w bazie marynarki wojennej w San Diego. W obu operacjach Liz wzięła udział jako pilot.

Tworzyli idealnie zgrany zespół.

Trio wynajętych meksykańskich gitarzystów, „mariachi”, zaintonowało tradycyjną pieśń „Oto nadchodzi panna młoda” i oczy zebranych zwróciły się na Liz, kroczącą powoli w towarzystwie matki i rozpromienionego Jorgego, który specjalnie na tę okazję wypomadował i podkreślił wąsy.

– Dobrze trafiłeś – stwierdził z podziwem Rycerz, drużba pana młodego. – Mam nadzieję, że niebawem pójde w twoje ślady.

– Trzymam za ciebie kciuki.

Myślni i sercem był teraz przy Liz. Włosy, których od paru miesięcy nie obcinała, tworzyły wokół jej twarzy bujną złotą grzywę, ozdobioną wiankiem ze świeżych kwiatów. Prosta suknia z kremowej satyny odsłaniała ramiona. Devlin uśmiechnął się na widok jej bosych stóp. Była bez butów, tak jak tamtej pamiętnej nocy, tu, na tej samej plaży.

Ujął jej dłonie i uśmiechnął się najgoręcej jak potrafił.

– Witaj, kochanie. Jesteś gotowa, by przypiecztować nasz związek na wieczność?

Jej oczy wyrażały miłość, radość, oddanie.

– Całą sobą jestem gotowa, kowboju.